

---

Strony internetowe Roberta Kolebuka

✉ [kolebukr@poczta.onet.pl](mailto:kolebukr@poczta.onet.pl) ✉

---

# Tadeusz Nowak

## Obcoplemienna ballada

Warszawa 1963

---

Oto kompletny spis treści tego tomu:

- [Kobyle mleko](#)
  - [Czarownice na niebie](#)
  - [Kuferek](#)
  - [Nasze ptaki](#)
  - [Sidła](#)
  - [Kredowe koło](#)
  - [Strzelba](#)
  - [Szarak](#)
  - [Kolęda](#)
  - [List](#)
  - [Wojna](#)
- 

### Kobyle mleko

Po tamtej stronie rzeki nie byłem nigdy. Tam żyje to skośnookie plemię z czołem ściętym niziutko, z wielką zuchwą wysuniętą nadmiernie do przodu. Czasem tylko o zmierzchu, ukryty w nadbrzeżnej wiklinie, widziałem, jak chłopcy z tamtej wsi, moi równieśnicy, ubiegając źrebięta, wchodzą pod gorący brzuch klaczy i wychodzą spod niego obcierając rękawem żółte od mleka twarze. Wybiegałem wtedy z wikliny, tańczyłem po nadbrzeżnym piachu i krzychałem: - Azjaci, Azjaci! - Wtedy oni wyciągali z kieszeni zrobione z dwóch sznurków i kawałka skóry proce i rzucali do mnie podobnymi do ptasich jaj kamieniami. A gdy im odpowiadałem tym samym, kilku z nich zdejmowało zapięte na wiśniowy kołek portki, ukazując mi przyrodzone ludzom słoneczko. Pozostali natomiast biegli do pobliskich chat, skąd przyprowadzali pięcioletnich berbeciów i na moich oczach wpychali ich pod brzuchy oźrebionych kobył, podsuwając im pod rozchylone usta twarde, podobne do dwóch wielkich gruszek, kobyle wymiona. Dzieci piły zachłannie, zupełnie tak samo, jak berbecie z naszej wsi karmione o zmierzchu przez nasze matki.

Muszę się przyznać, że to picie kobylego mleka tylko pozornie mnie raziło. Gdy ojciec wysyłał mnie z naszymi końmi na podleśne łąki, odjeżdżałem od moich rówieśników, obejmowałem ramieniem łeb źrebięcia i razem z nim zbliżałem się do naszej klaczy. Gdy źrebak, rozkraczony na wyprostowanych do kołków nogach, zaczynał, bijąc łbem w kobyle podbrzusze, chłeptać, odpychałem go kuksańcem. Wtedy, oszukując klacz, inaczej z pewnością by kopiała, wchodziłem pod jej brzuch i obydwoma rękami obejmowałem jej wymię. Mleko z dójek ściekało podobnymi do złotej żywicy kroplami. Początkowo zlizywałem językiem jedynie te ściekające krople. Rychło jednak przekonałem się, że te żółte krople mają smak krowiego mleka scedzonego na cukier i listki piołunu. Wtedy już bez żenady chwytalem wargami kobylę dójki i piłem zachłannie, uderzając od czasu do czasu głową w podbrzusze klaczy.

Mleko z każdym dniem smakowało mi bardziej. Nie mogłem się wręcz oprzeć, aby nie wejść pod kobyli brzuch. Po dwóch tygodniach doszło do tego, że niemal biłem się ze źrebięciem. Wygrywałem. Byłem jeszcze mocniejszy i sprytniejszy od parotygodniowego źrebaka. Wystarczyło go lekko popchnąć, a źrebię, biegnące do klaczy na kołkowatych nogach, upadało na trawę.

Po pewnym czasie zauważyłem, że nasz źrebak zamiast rowka, przecinającego jego zad, ma długą, podobną do szerniałego siana sierść. Żal mi się zrobiło stworzenia. Ale nie chciałem mu odstępować kobylego wymienia. Z drugiej jednak strony wiedziałem, że jeśli nadal będę go objadał, źrebak szejnie zupełnie. Jako mądrzejszy, wymyśliłem podstęp. Codziennie zabierałem ze sobą sporą flaszkę ze słodzonym krowim mlekiem. Gdy przyjeżdżałem na łąki, nakładałem na szyjkę flaszki kawałek bżowego kołka z wypchanym rdzeniem i podsuwałem ją pod wargi źrebięcia. Piło chciwie, uderzając łbem o moje zaciśnięte na flaszcze ręce. Wtedy ja, już bez skrpułów, wchodziłem pod kobyli brzuch i piłem do syta.

Zanim klacz straciła mleko, poczułem, jak w moim wnętrzu rozjaśnia się trawa. Zwłaszcza szerokie listki zajęczej kapusty, podłużne listki stokłasy i dzikiej cykorii widziałem do samego dna najdrobniejszych żyłek. Niemalże całą istotą przeczuwałem w ich wnętrzu obecność kleistego soku. Bardzo mnie to ucieszyło. Tym bardziej chciałem pić kobyle mleko. Jakoż przeczuwałem, że gdybym nie pił kobylego mleka, łąka byłaby dla mnie zwykłym plemieniem różnorakich traw niemalże podobnych do siebie.

Teraz dopiero w łące widziałem te praźródła, z których rodzi się mleko, krew, mięso i sierść. Mógłbym z zamkniętymi źrenicami, dotykając listków jedynie brzuszkami palców, powiedzieć, w której roślinie jest mleko, a w której czarny dziegieć, arabska guma, korek i chiton.

Cieszyło mnie to niezmiernie. Teraz coraz częściej siadywałem na podleśnym wzgórku i spod przymrużonych powiek spoglądałem na łąkę tak różną od tej, którą zapamiętałem w dzieciństwie. Nawet ptaki wylatujące spod końskich kopyt nie cieszyły mnie już tak, jak dawniej. Po prostu nie ciągnęło

mnie już do upierzonego mięsa. Mogły więc przelatywać nade mną podobne do upierzonych grudek ziemi, gałązek, wiązek siana, Inu. Uprosiłem nawet matkę, aby mi na obiad gotowała wyłącznie razową zacierkę na mleku. Od tej też pory nie mogłem patrzeć na rówieśników przychodzących na błonie pod wierzby grać w palanta. Zawsze przychodzili z kromką chleba obłożoną kawałkiem słoniny lub starego sadła. Znienawidziłem również naszą sąsiadkę staruszkę, która dusiła rącznikiem młodziutkie koźlątka i piekła je w glinianych saganach, zalepiając pokrywki ośródką chleba.

Po kilku tygodniach zauważyłem na skórze rąk i nóg podobne do gryczanego puchu włoski. Przeraziłem się. Wydawało mi się, że obrastam jak żrebak sierścią. Codziennie wielokrotnie przeglądałem się w leśnych kałużach sprawdzając, czy czasem nie wyrastają mi koński łeb, uszy i grube, rozciągliwe wargi. Uspokoilem się dopiero wtedy, gdy na skórze rówieśników zobaczyłem podobny do mojego puch.

Od tego czasu, już bez bojaźni, coraz częściej przesiadywałem nad rzeką. Wchodziłem w wiklinę i kuciałem w niej dopóty, dopóki chłopcy z tej skośnookiej wsi nie wyjechali paść koni. I już nie wyskakiwałem z krzewu rokiciny, aby krzyżeć i tańczyć, kiedy ani wchodził pod kobyle brzuchy. Przypatrywałem się tylko pilnie, jak oni to czynią, że klacze same rozkraczają się, pozwalając im ssać z wymion, a nawet liżą im zadrapane nogi i szyje. Teraz byłem już jednym z nich. Należałem do ich plemienia.

Nic jednak poza tym, że ich, dzieci lubiły ssać kobyle mleko, nie wiedziałem o ludziach z tamtej wsi. Trochę z bojaźni, a przede wszystkim z zakorzenionej głęboko w naszej wsi nienawiści, nie miałem odwagi wejść między słomiane domy Azjatów, przejść się pod ich kurnymi sadami w biskupich fioletach i papieskich żółciach. Wprawdzie z łatwością, jak psie szczenię, przepływałem rzekę, wchodziłem na nadgryziony przez wodę kwaśny brzeg, zachodziłem nawet na schodzące do wody pola pełne zielonych dyni, kukurydzy i słonecznika, był to jednak ostatni skrawek ich ziemi, który znałem. Poza tym do czasu, kiedy nie zacząłem siorbać kobilego mleka, nic mnie do tego plemienia nie ciągnęło. Dopiero teraz zapragnąłem wejść pomiędzy nich. Zwłaszcza miałem ogromną chętkę bawić się z chłopcami z tamtej wsi. Widziałem często, jak ci chłopcy, spętawszy konie, podchodzili do najgrubszego drzewa, rysowali kredą na jego korze duże koło i odstępując od niego kilkanaście kroków, wyciągali z kieszeni sprężynowe noże, przechylali się do tyłu i nieomylnie trafiali nimi w sam środek kręgu. Zwycięzca w nagrodę mógł ujeżdżać białego ogiera.

Bardzo chciałem mieć taki sprężynowy nóż, wbijać go w drzewo, jeździć na białym ogierze. Nie wiedziałem jednak, jak to zrobić. Samemu nie wypadało mi przepływać przez rzekę z białą koszulą w zębach, z plastrem miodu w garści na przeprosiny. Rówieśnikom nie odważyłbym się nawet o tym wspomnieć. Zresztą gdyby tamci zobaczyli, że przepływam przez rzekę, nie pomogłyby i biała koszula, i miód. Zaczęliby we mnie rzucać kamieniami z procy. Nie umiałem nic wymyślić. Mogłem jedynie całymi godzinami siedzieć

na brzegu i przypatrywać się ich zabawie. Nie traciłem jednak nadziei, że kiedyś wejdę między nich, będę się bawił razem z nimi, a nawet będę uważany za jednego z nich. Na razie nie zanosilo się na to. Zbliżała się zima.

Skośnookie plemię zwoziło z nadrzecznych pól kukurydzę i dynie. Po kilku dniach, kiedy przyszedłem nad rzekę, widziałem jedynie czarne pola.

A właśnie w tym czasie, jakby pite przeze mnie kobyle mleko zrodziło we mnie roślinne słońce przesycone cukrem i piołunem, zakochałem się. Stało się to w przedziwny sposób.

Pewnej niedzieli, kiedy stałem w naszym drewnianym kościółku pod amboną, spostrzegłem przed sobą klęczącą dziewczynę. Nie była to jeszcze dziewczyna. Raczej podłotek. Klęczała obok figury świętego Józefa. Na ramiona miała narzuconą czarną szalówkę. Widziałem ją z boku. Wydawało mi się, że jej twarz jest podobna do twarzy tych ludzi z obcego plemienia. Ale czoło miała wyższe. Jej podbródek był wprawdzie mocno wysunięty, ale nie miał tej twardości kamienia czy żelaza, co podbródki jej współplemieńców. Poza tym wydawało mi się, że jest drobniejsza niż jej rówieśnice, bardziej pochylona do przodu, jakby po jej plecach przebiegała łasica.

Spodobało mi się to jej pochylenie ciała, to klęczenie obcoplemienne pod tym fioletowym drewnem świętego Józefa. W świetle ujętej w ołów szybki zobaczyłem, jak przez jej twarz przelatują ptaki, przepływają ryby, odchodzą pod lód i pod śnieg całe plemiona traw. Była podobna do mirtowego drzewka, wiecznie zielonego, oczekującego nieustannie wesela. I już widziałem ją w każdym ogródku, w każdym oknie stojącą w doniczkach, pachnącą goryczkowo, obłaskawianą przez kobiece ręce i kocie łapy. Zapragnąłem nagle podejść do niej, pociągnąć ją za warkocz, zwrócić jej twarz ku sobie. Wiedziałem, czego chcę. Wydawało mi się, że w jej twarzy zobaczę te wysokie trawy pełne krępych koników, te drewniane kościółki z przeszytą strzałami i dzidami wieżyczką, kruchtą, dzwonnica, o których opowiadał nam nauczyciel w szkole. Widziałem również, jak ona, przechylona do przodu, jedzie na krępym koniku, a za nią cwałuje całe plemię. Zjeżdża z tego rozkrojonego do wnętrza dyni nadrzeczno brzegu, aby wjechać w rzekę, zatknąć w niej dzidy z uciętymi głowami, obmyć żelazo i ręce i pić, i pić. I widziałem również, że jej plemię zostaje na tym brzegu, zagrzebuje w mule pestki dyni i pestki słonecznika, wyciąga z wieży, z kruchty, z dzwonnicy drewnianego kościółka i dzidy, i strzały. A później już wszystkie trawy cedziły w kobyle wymiona niemalże włochate od piołunu i cukru mleko. A sady weszły w śliwkowy fiolet i gruszkową żółć.

Wtedy dopiero ta dziewczyna, a raczej podłotek, zwróciła w moją stronę twarz. I wydawało mi się, że ona już wie, czemu siorbałem kobyle mleko, dlaczego całymi godzinami przesiaduję w nadrzecznej wiklinie podpatrując jej współplemieńców rzucających nożami w kredowe koło. I mnie się również wydawało, że nareszcie rozumiem, dlaczego to obce plemię przywędrowało nad naszą rzekę, weszło między nas, zasadziło pestki słonecznika i pestki dyni, ujeżdżało konie i piło przesycone cukrem i piołunem mleko.

I stałem w tym kościółku pod tą drewnianą amboną, huczącą od korników. Ludzie już dawno powychodzili. Korniki przestały huczeć. Z okienek ujętych w ołów prószył zmierzch. A ona klęczała nadal pod tym fioletowym drewnem świętego Józefa, przechylona do przodu, jakby odprowadzała przez drewniany kościółek krzaczki mleczu, stokłosa i dzikiej cykorii. Dopiero gdy kościółek napełnił się dymem, jakby przezeń przechodziła wysoka mietlica, wstała spod spiczastych kolan świętego Józefa i wyszła.

Nie pobiegłem za nią. Bałem się tego, co zobaczyłem w jej twarzy. Wiedziałem, że ona również lęka się tego, co zobaczyła we mnie. Na pewno jest przerażona bardziej niż ja. Myśli z pewnością, że przebrałem się za jednego z jej współplemiennych rówieśników. A jeśli tak nie myśli, sądzi z pewnością, że po nocach chodziłem pod jej sadem, zaglądałem w okno jej domu, aby się wyuczyć tego wszystkiego, z czym jej plemię przywędrowało do nas.

Poza tym cieszyłem się bardzo. Wracałem do domu podskakując i zrywając wierzbowe listki. Czułem, że nie wracam sam, że wewnątrz mnie zbiegły się wszystkie wiosenne trawy, wszystkie wody i ptaki, aby się ułożyć w obraz podobny do tej dziewczyny lekko przechylonej do przodu.

## [Spis treści](#)



## Czarownice na niebie

Zima była już w naszej wsi. Jeszcze jesienne trawy nie zdążyły uciec za okoliczne wzgórza, a mróz już ściał do samego dna płytką w tym roku rzekę. Do tej pory lubiłem nawet zimę. Cieszyła mnie jej biała choina, pachnąca zeprzałą rzepą, końskim nawozem, baranym kożuchem. Wbiegałem z hałasem w jej leśny sędzielak. Nagrzany na przypiecku ciałem odchuchiwałem w niej niebieskie tunele prowadzące do studni, da sadu, a nawet do lasu. Ta zima jednak była dla mnie czarną przerębłą, burym niedźwiedziem zwalonym pod próg.

Nie miałem kościelnych trzewików. Stare rozsypały się ubiegłej zimy. Nie mogłem więc chodzić do kościoła. A tylko w kościele mogłem ujrzeć tę obcoplemienną dziewczynę. Jeszcze w listopadzie widziałem ją klęczącą pod fioletowym drewnem świętego.

I teraz również ją widzę. Nawet wiem, że co niedzielę podnosi twarz, odwraca się, aby spojrzeć pod ambonę. Ale mnie tam nie ma. Ja jestem za tym drewnianym kościółkiem zasypany po szyję śniegiem, za tą zimą nieruchomą w sędzielaku, za tym burym niedźwiedziem zwalonym pod próg, za juchtowymi butami stojącymi na półce w sklepiku Judki.

Wprawdzie zmajstrowałem sobie buty ze starych matczyńskich cholewek, przybijając je teksami do wystruganych z akacjowego drzewa podeszew, ale

rodzice nie pozwolili mi chodzić w nich do kościoła. Biedniejsi od nas obuli swoje dzieci w szewrowe, boksowe czy choćby w juchtowe trzewiki. A ja już prawie dorastałem. Tym bardziej więc nie mogłem narażać kmiecego honoru naszej rodziny byle jak skleconymi buciorami. A tak się jakoś poskładało, że ojciec nie mógł mi tej zimy sprawić nowych trzewików. Jako gajowy barona, musiał sobie sprawić nową dwururkę, węgierskie buty z cholewami, bośniacki kozuch i czapkę czarnogórkę. Również matka z racji zajmowanego przez ojca stanowiska, proszona coraz częściej na chrzestną, musiała mieć nową tybetkę, gorset naszywany koralikami i wełnianą szalówkę, nie mówiąc już o lnianych halkach i jedwabnej spódnicy. W tej sytuacji byłem bezradny. Całymi godzinami przesiadywałem w domu lub w stajni, gdzie szcztkowałem do talarów końskie zady. Wychodziłem wprawdzie do sadu, byłem nawet kilka razy w lesie, ale nic mnie ani tu, ani tam już tak nie cieszyło jak w poprzednich latach.

Kiedy było mi bardzo smutno, a obraz tej obcoplemiennej dziewczyny zacierał się we mnie zasypywany śniegiem, zasłaniany lasem, wchodziłem do komory i w sąsiedku przesypywałem owies. Dźwięk przesypywanego owsa przypominał mi zbliżającą się Wigilię. A tylko w Wigilię mógłbym iść na pasterkę z kieszeniami pełnymi owsa, rzucać go garściami w moją dziewczynę, aby jej wreszcie dać ten utajony w owsie znak, że ona codziennie przechodzi przede mną pochylona do przodu, jest u nasady mojej głowy, w mojej grdyce dławiącej się na widok podobnej do niej dziewczyny.

Widziałem jednak, że choćbym przesypywał owies całymi nocami, nie dane mi będzie zobaczyć jej na pasterce. Po pewnym czasie to przesypywanie owsa wydało mi się niemalże dziecinne i głupie. Widziałem przecież, jak moi starsi bracia przesypywali owies całymi godzinami dla wójtówny, dla sołtysówny, dla córki organisty, a pożeniono ich zupełnie z kim innym. Wprawdzie ja nie byłem tak głupi jak oni, nie zakochałem się w majątku, w sadzie, w pasiece, w pszenicy, ale takie bezmyślne przesypywanie owsa wydało mi się zbytecznym trwonieniem czasu.

Któregoś dnia, wysmykując z zapola koniczynę dla koni, wpadłem na dobry pomysł. Postanowiłem namówić kilku moich rówieśników i wybrać się do tej obcoplemiennej wsi po kolędzie. Zebrałem moich najbliższych przyjaciół. Radziliśmy w naszej stodole, gdzie najlepiej zjeżdżało się ze sterty żyta na niżej położone siano, gdzie przy odrobinie szczęścia można było z mateuszki przeznaczanej dla żrebnej klaczy wygrzebać zimowe jabłuszko. Rówieśnicy chętnie przystali na mój pomysł.

W najbliższych dniach zebraliśmy kozuchy dla pasterzy, garście październowych konopi na brody, z tektury i z piór zmajstrowaliśmy skrzydła dla anioła. Znalazły się również rogi i czerwone rękawice dla diabła. Nie mogliśmy tylko znikąd wytrzasnąć turoniowej głowy. Kiedy wreszcie któryś z nas otrzymał ją za paczkę fajkowego tytoniu od kościelnego, wszystko było gotowe do kolędowania. Zaczęliśmy się uczyć z postrzępionej książeczki wierszyków, przyśpiewek, kolęd. Ja, na wszelki wypadek, aby nic nie mówić

(zawsze byłem nieśmiały), miałem być diabłem. Po tygodniu byliśmy gotowi ze wszystkim.

Wtedy dopiero przypomnieliśmy sobie, że zupełnie nie znamy wsi z tamtego brzegu rzeki. Wprawdzie gdybyśmy tam poszli, nie znając nawet jednego domu, uliczki, drzewka, i tak byśmy nie zabłądzili. Myśmy jednak byli na tyle przebiegli, aby dokładnie spenetrować, gdzie trzymają złe psy, które w razie nieprzewidzianej a możliwej bójki najłatwiej będzie nam uciekać.

Pomysł kolędowania ucieszył mnie bardzo. Jeszcze bardziej byłem zadowolony, że na kilka dni przed kolędą znajdę się w tamtej wsi. Wydawało mi się, że na pewno zobaczę moją dziewczynę. A choćby nie udało mi się spojrzeć w jej twarz, będę przynajmniej wiedział, w którym mieszka domu.

Tuż po Wigilii, kiedy zaczyna się okres jasełek i kolęd, wybraliśmy się za rzekę na przeszpiegi. Noc była gwiaździsta. Śnieg skrzypiał, jakby cała równina kołysała się na biegunach. Przeszliśmy przez chrust, przez zamrzniętą rzekę i znowu przez chrust. Weszliśmy pod kurne sady tej obcoplemiennej wsi. Cała wieś tworzyła coś w rodzaju ogromnej obroży uwiązanej na podwójnym łańcuchu do murowanego dworu stojącego na wzgórzu. W niektórych domach paliły się naftowe lampy; w innych olejne kaganki, jeszcze w innych ogryzki łożowych świec zatkniętych w wydrążone rzepy. Łatwo się w tym można było wyznać po większych, mniejszych i podobnych do świętojańskiego robaczka światełkach. Klucząc polami zasypanymi śniegiem, obchodziliśmy całą wieś. Szliśmy ostrożnie po powierzchni zmarzniętego śniegu, nie rozmawiając ze sobą. Baliśmy się psów, które i tak nas już zwietrzyły, bo naszcze kiwały coraz głośnie j. Widocznie brały nas z takiej odległości, w jakiej obchodziliśmy wieś, za przesu wające się po śniegu kudłate turonie, niedźwiedzie, kroczący las, bo ich ujadanie przechodziło w skowyt. Ale gdy wchodziliśmy w wieś, psy przestały ujadać. Widocznie oswoiły się z nami. A może w nasilającym się mrozie nawet nasz ostry zapach zamarzał w małe grudki lodu.

Kiedy podchodziliśmy pod dwór, wydawało mi się, że w okienku ostatniej chaty mignęła mi w świetle lampy ta pochylona do przodu dziewczyna. Zatrzymałem równieśników. Kazałem im czekać pod sadem, a sam podszedłem pod dom. Zbliżałem się pod okienko umieszczone tuż nad samą ziemią. Cała ściana domu była ogacona zgrabionymi liśćmi, zsypanymi za wiklinowy płot. Okienko było do połowy zasłonięte przechodzącym w sędzielak lodem.

Podszedłem pod sam okap domu. Przytuliłem się niemal całą twarzą do okna. Ale oprócz poruszających się po izbie cieni nic nie mogłem dojrzeć. Wprawdzie nadal wydawało mi się, że w jednym z dwóch cieni siedzących przy stole rozpoznaję moją dziewczynę, ale coraz bardziej zamarzające szyby wchłaniały wszystko jak gęsta wiklina o zmroku.

Już miałem odejść do rówieśników, kiedy wpychając zgrabiałe ręce w kieszenie ojcowskiego kozucha namacałem w nich jabłuszko. Postanowiłem zrobić dziewczynie niespodziankę.

Wspiąłem się na rosnącą tuż przy domu jabłoń. Z jabłoni wszedłem na strzechę domu. Idąc po strzesze, jak po zasypanej śniegiem pagórkowatej drodze, wszedłem na kalenicę. Po kalenicy, już wyprostowany, doszedłem do dymiącego komina. Wyjąłem jabłko z kieszeni kożucha, obejrzałem je pod nów i wrzuciłem do komina. Słyszałem, jak jabłko toczy się przez grubą dudę komina. Spadło widocznie w dogasający pod okapem pieca żar, bo przez komin posypały się iskry. Cofając głowę od komina, zobaczyłem, że na śniegu koło chaty znikł krąg świetlny. Widocznie zgaszono lampę. Wyjąłem drugie jabłko. Rzuciłem je. I znowu w niebo poszły iskry. Wtedy wyjąłem jeszcze jedno jabłko i rzucając je w komin z całej siły, krzyknąłem:

- To ja!

Tego, co się stało po moim okrzyku, nie spodziewałem się. Tuż za iskrami wyleciała z komina, siedząc okrakiem na gąsiorze, ubrana w kożuch wyszywany w kwiatki, w wysokie sznurowane aż do kolan buty, młoda jeszcze kobieta. Za nią z komina wylatywały jaszczury, płonące koty, stołek służący do dojenia krów, maselniczka, a nawet ogromne rzeszoto służące widocznie do przesiewania z piasku talarów i dukatów. Przycupnąłem za kominem. Słyszałem, jak kobieta, wjeżdżająca na podskubanym gąsiorze na wyiskrzzone niebo, krzyczy coś w obcym dla mnie narzeczu, jak gąsior gęga donośnie, a smoki jarząc się opadają w sady błękitną siarką.

Podniosłem głowę zza komina. Dopiero wtedy zobaczyłem, jak tuż nad kurnymi sadami przelatuje całe stado kobiet siedzących okrakiem na gąsiorach, indykach, miotłach i ożogach. Wszystkie tworzyły jakby jesienny ptasi klucz otwierający wieczorne niebo. Prowadziła je szeroka jak gliniany piec baba, obuta w czerwone trzewiki, ubrana w czerwony kożuch, jadąca na wójtowym pawiu. Ależ tak, to na pewno jest wójcina! Dopiero teraz, kiedy skręciła na Mleczną Drogę, poznałem ją po trzynastosznurzych prawdziwych koralach wiszących na jej skrofulicznej szyi.

Ucieszył mnie ten widok cwałujących środkiem nieba kobiet. Wprawdzie ojciec opowiadał nam często o konnicy galopującej kiedyś pod naszymi sadami, wjeżdżającej na okoliczne błonia, skąd już cwałując nadjeżdżał wrogi oddział. Mogłem sobie nawet ową konnicę wyobrazić. Ale tu, tej nocy, pierwszy raz w życiu widziałem babską konnicę cwałującą po niebie, i to na czym! Na gąsiorach, indorach, na miotłach, na ożogach. A dowódca na pawiu.

Kobiety niemalże w wojennym szyku skręciły z Mlecznej Drogi. Opuściły się jeszcze niżej nad sady i wchodząc w cień lasu, błękitniejąc po jednej, po dwie, znikwały mi z oczu. Z rozpierającej mnie uciechy krzyknąłem jeszcze za nimi:

- Hej tam, dobrej drogi, babulki!

I niemalże nie zleciałem z kalenicy. Z głębi izby posłyszałem przez komin:

- A to ty, zbereźniku! Dasz ty spać Magdusi!

Odkrzyknąłem:

- A juści! - I w ten głos pełen macierzyńskiego błękitu rzuciłem ostatnie



**czerwone jabłuszko. I zbiegłem ze strzechy, skacząc w wysoki po pazuchy śnieg.**

## Spis treści



## **Kuferek**

**Z nadejściem wiosny wiele się w naszym domu zmieniło. Ojciec, chcąc mi sprawić buty, zabił tuż przed Wielkanocą, rogacza, którego pokątnie sprzedał karczmarzowi. Niestety, dowiedział się o tym baron. Akurat musiał w tym czasie wpaść do karczmy (robił to raz do roku), aby wypić z ludem pół szklaneczki araku. Oczywiście karczmarz nie omieszkał się pochwalić przed baronem jelenim porożem. Baron pobierał z wściekłości. Od razu poznał, że są to rogi tego przedziwnego jelenia, uważanego przez myśliwych za zaczarowanego, do którego strzelał wielokrotnie, a który każdej zimy wchodził do dworskiego sadu ogryzać zaśnieżone wiśniowe gałązki. Złośliwi, w tym również nasz proboszcz, twierdzili, że rogacz przychodził wcale nie do sadu. Przysięgali się, że widzieli go wchodzącego furtką od ogrodu do sypialni baronowej. Może to i prawda. Nikt tego nie dociecze. W każdym razie stało się. Rozwścieczony baron wezwał na drugi dzień ojca i wymówił mu posadę gajowego.**

**Właśnie nieśliśmy z ojcem do kowala sklecony z akacjowych desek, mokry jeszcze od żywicy kuferek. Ojciec doszedł do wniosku, że nie ma co robić na kawałku pola. Postanowił wyjechać do Ameryki. Nieśliśmy więc we dwójkę z ojcem ten akacjowy kuferek, zbity drewnianymi kołkami, pomalowany terem. Gdy kowal okuje jego rogi i dorobi skoblę i uchwyt, aby go można było zamykać na kłódkę i nosić wygodnie, ojciec z pewnością dowiezie w nim do Ameryki Biblię, kilka lnianych koszul, kościelny surdut, wiązkę samosiejki i parę wiśniowych fajek. A gdy ojciec znajdzie się już w Ameryce, kuferek będzie jak znalazł na zsypywanie do niego srebrnych i złotych dolarów.**

**Do kowala jednak nie doszliśmy. Tuż przed karczmą podszedł do nas kościelny.**

**- Jak się masz, Piotruś - mówił. - Widzę, że z Pawełkiem dźwigacie cały kufer talarów. Postawilibyście bożemu służce choć sztaganek za dziesiątkę. - I ujmując ojca za łokieć, pociągnął go do szynku.**

**W karczmie, owszem, wypiliśmy za dziesiątkę, później za dwie dziesiątki, za koronę, za reńskiego. Od tego picia zakręciło mi się w głowie. Jeśli początkowo dosyć dobrze widziałem karczmareczkę z czerwoną wstążką w warkoczu, w różowej bluzce, w czarnej spódnicy, w żółtych butach sznurowanych podwójnie, teraz wirujące przede mną ściany karczmy były na przemian obite krążkami dziesiątek, różową bluzką, czarną spódnicą. Dziesiątki toczyły się po ścianach, po stole, po szynkwasiu. Spadały w**

otwarty kuferek, do którego wlał ojciec i tańczył w nim, i krzyczał, że tłoczy w nim dolary jak kapustę, jak siano, jak plewy. A kiedy ojciec przestał tańczyć i krzyżeć, podchodziła do nas karczmareczka z rumem, stawiała go na stole, zbliżała się do mnie, z różowej bluzki przerzucała warkocz na plecy, nachylała się nade mną, brała moją twarz w obydwie ręce, całowała mnie w oczy, w nos, w usta. I przez cały czas szeptała o sianie na dworskich łąkach. Głaskałem ją po rękach, po szyi, pociągałem za warkocz. A wtedy ona uciekała. Przebiegała przez izbę i znowu wszystkie ściany były w jej bluzce, warkoczu, czarnej spódnicy.

A kiedy wszyscy w karczmie orzekli, że kuferek jest już pełny, i ojciec wyszedł z niego, podtrzymywany za łokcie przez kościelnego, znowu podeszła do mnie karczmareczka. Podniosła moją twarz, pocałowała mnie w usta, w nos, w oczy. Coraz szybciej zaczęła szeptać:

- Pamiętaj o łące, o łące, o zielonej łące.

Widziałem tę łąkę, to siano w czerwcowych światłach, w miodzie, w roślinnym mleku. Przez tę łąkę biegła ona cała w czerwieni. Chwyciłem ją za warkocz, przyciągnąłem do siebie. Zacząłem ją całować w szyję, w usta, w różową bluzkę, w czarną spódnicę, w żółte buty. Odpychała mnie od siebie, biła po twarzy, po rękach, po karku.

Ale ja już o tym nie wiedziałem. Nie widziałem ani toczących się po ścianie dziesiątek, ani karczmarki w spódnicy, w trzewikach, w czarnym warkoczu. Byłem w kościele. Niosłem mirt i asparagus. Sypałem mirt i asparagus na warkocze, na twarz, na sukienkę tej obcoplemiennej dziewczyny. A jeszcze później biegłem sadem, zrywałem czerwone jabłka, rzucałem je przez sad, przez pole, przez rzekę do kolan tej dziewczyny stojącej na tamtym brzegu rozkrojonym do wnętrza jaśniejącej dyni. Po plecach dziewczyny przebiegała łasica, z jej twarzy ulatywał ptak.

A jeszcze później przyszła matka. Ubrała ojca w buty, w krymkę, w surdut i wyszła z nim prowadząc go pod ramię. I prowadziła go ostrożnie przez błonie, przez pole, przez sad do Ameryki. A ja szedłem za nimi z kuferką na plecach. Kuferek był ciężki, coraz cięższy. Były w nim dolary i ojcowe tańcowanie, i karczmarka, i błonie, i pole, i sad. Nie było tylko w nim tej obcoplemiennej dziewczyny zasypanej asparagusem, mirtem i złotymi jabłkami.

Kuferek okuty po rogach, zamknięty na kładkę, z domalowanym przez kościelnego na wieku pawiem, leżał w tyle wasażka. Na siedzisku zrobionym z dwóch snopków przyciętych kłociaków siedzieli moi rodzice. Ja siedziałem za nimi zagrzebany w sianie. Uchyliliśmy czapek, przeżegnaliśmy się. Konie ruszyły. Matka rzuciła na podwórze garść wyciętych z blachy krążków (aby ojciec wrócił z majątkiem) i przed siebie garść maku (aby ojciec jechał spokojnie, cichutko).

Jechaliśmy na ukos przez błonie. Kiedy za nami została wieś, widoczna z polnej dróżki wspinającej się na gliniany pagórek aż po wnętrza kominów, wydawało mi się, że to ja odjeżdżam do tej Ameryki, gdzie się rodzą dolary i

sukiennie surduty, skąd przybywają do nas wielkie pola w pszenicach, w kukurydzach, w łubinach. I już widziałem siebie w sukiennym surducie, w pszenicznym polu, w jabłonkowym sadzie. A poza tą pszenicą, poza jabłonkowym sadem, samym brzegiem nieba i widnokresu szła obcoplemienna dziewczyna z czerwonym jabłkiem w jednej i z dzbankiem mleka w drugiej ręce. Szła do mnie. Już wchodziła w pszenicę, w sad. Już mi podawała jabłko i gliniany dzbanek, kiedy nagle ojciec zaczął śpiewać. Po chwili do jego śpiewu dołączyła się matka. Śpiewali jedną z tych ubogich piosenek o dziewczynie, o chłopcu, o gąsce. Dołączyłem się do ich śpiewu. I tak śpiewając, zagrzebani w sianie, w słomie, w źdźbłach słońca, między polem i błoniem, lasem i łąką, dojechaliśmy do małej stacyjki kolejowej.

Do pociągu było jeszcze sporo czasu. Podjechaliśmy pod pobliską karczmę. Konie wprowadziliśmy na podwórze, ściągając je lejcamy przywiązanymi do drzewa. Weszliśmy do szynku. Ojciec postawił nam po sztaganku rumu. Zjedliśmy również po kawałku kielbasy. I jeszcze raz wypiliśmy rum.

Wtedy ojciec wziął matkę za ręce i zaczął z nią tańczyć. Tańczyli coraz szybciej. Kiedy nie mogłem już odróżnić, gdzie jest surdut ojca, a gdzie gorset i korale matki, ojciec uniósł matkę znad ziemi i postawił ją przede mną na stole.

- Masz tu, smyku, moją dziewczynę. Opiekuj się nią. Tyś teraz gospodarz.

Po czym uniósł mnie za ramiona, przyciągnął do siebie i podrzucił aż pod stragarz karczmy. Spadłem na równe nogi. Przyklęknąłem i pocałowałem ojca w rękę.

Wyszliśmy z karczmy. Zdjąłem z wozu kuferek. Postaliśmy jeszcze chwilę przed stacyjnym budynkiem. Nadjechał pociąg. Ojciec przyciągnął mnie i matkę do siebie i zanim spostrzegliśmy, że go nie ma wśród nas, on już odjeżdżał w tej drewnianej klatce ciągnionej przez ogromny żeleźniak z kominem. Jeszcze na zakręcie widzieliśmy, jak się ojciec wychyla z tego drewnianego kojca, macha do nas rękami, potrząsa głową. A już przez jego twarz przelatował coraz częściej dym i zmierzch, i drobne gałązki, i duże gałęzie w skrawkach nieba, w źdźbłach światła. Zanim matka zaczęła płakać, nie było już ojca ani jego twarzy, ani tego kojca, z którego się wychylał ubrany w czarny surdut, w lnianą koszulę bez kołnierzyka zapiętą ciasno na zgrubiałej od krzyku szyi.

## [Spis treści](#)



## Nasze ptaki

Matka płakała przez całą wiosnę. Płakała jeszcze w lecie. Z pagórków szły wody skrzypowe, liściaste, sukienne. Pełno w nich było ryb, drzewa, dzikich

jabłek i dyni. We wsi przeklinano matkę, że to ona wyplakała tę powódź skrzypową, liściastą, sukienną. Matka nie wychodziła z domu. Siedziała przy oknie i ciągle płakała. Nawet wtedy, gdy wody już zeszyły zostawiając na polach zdechłe ryby, drzewo, dzikie jabłka i dynie. Gniło to wszystko, fermentowało. Nad tym wszystkim stał dym, huczące komary i muchy.

Nad tą wodą, przez ten dym, w ten płacz matki codzienny przyszedł list od ojca. Pisał go ktoś obcy (ojciec był niepiśmienny). Litery w nim stały osobno. Takie czarne paliki zastrugane nożem, powbijane w białe pole. Siedziałem nad tym polem, wyjmowałem te czarne paliki, układałem z nich dla matki, dla siebie błogosławieństwa boże, świątkowe, ojcowskie. Wchodziłem za tymi palikami do żelaznej fabryki, do drewnianego domku nad wielkim jeziorem. W tym domku na ścianie wieszałem odpustowy obrazek Panienci, w kącie ustawiałem drewniany kuferek, a na środku izby zbity z tarcic stół. Na stole układałem wiśniowe fajki. Obok fajek wiązkę samosiejki. A gdy już byłem zmęczony, wchodziłem w nasze pole, w nasz sad, w nasz próg. Całowałem matkę po rękach, a siebie pociągałem za włosy, za uszy.

Na samym brzegu białego pola było jeszcze kilka czarnych palików. Wyrywałem je ostrożnie, układając obok siebie. Wynikało z nich, że ojciec zbiera już dolary na to pole za starym młynem. Więcej palików już nie było. Wszystkie były wyrwane.

Złożyłem to białe półko na dwa zagony, na cztery. Położyłem na stole. Wtedy matka wzięła ten list ze stołu, całowała w nim każdy palik. Płakała. Wody wyschły zupełnie. Zdechłe ryby, kwaśne jabłka i fermentujące dynie wywieziono na pola. Zaorano je, zasiano na nich łubin.

A na innych polach, nie ruszonych przez powódź, pod lasem, za starym dworskim młynem, dojrzewało żyto, pszenica, gryka. Teraz codziennie, skoro świt, wchodziłem pod sad. Na babce wbitej w wierzbowy pień klepałem kosę. Gdy błonie obsychało z rosy, szedłem z matką przez sad, przez łąki na pole pod lasem. Od rana do nocy szedłem stopa za stopą prowadzony przez kosę. Zboże cięte spadało przez niebo, przez płoszone przepiórki, na ręce, na ramiona matki. Kiedy dochodziliśmy do lasu cali w pocie, w kurzu, w przepiórkowych piórkach, była już niemalże noc. Odkładałem kosę. Siadałem na związanym snopku. Matka przynosiła dzbanek z wodą. Spoglądałem w jego wnętrze. Było czarne aż po samo dno. Tylko na powierzchni wody było trochę światła. W tym świetle widziałem swoją twarz z dzikim ptakiem w podbródku, w kościach policzkowych, w czole. A za tym ptakiem widziałem zmierzchające nieba i parę kłosów zboża. A przez te kłosy twarz tej obcoplemiennej dziewczyny z białym ptakiem w podbródku, w kościach policzkowych, w czole. Wtedy jeszcze niżej nachylałem się nad dzbankiem. Ulatywało z niego niebo, kłosy, mój i jej ptak. Dotykałem wargami gliny. Woda ściekała we mnie wieżyczkami skrzypu, brzoźowymi listkami, piołunem.

Podawałem dzban matce. Nachylała się nad nim. Nie widziała w nim nieba ani kłosów. Dla niej na dnie dzbanka był ojciec. Szedł w kościelnym surducie przez to pole za młynem. Szedł bez czapki na głowie. Wbijał

młotkiem białe paliki w rudą glinę, w schodzące się z tą gliną niebios. Matka nie dotykała wargami wody. Obcierała spoconą twarz w zapaskę, przeczesywała palcami włosy, splatała je w warkocz. Okruchy chleba, drewniane trepy, ścięte kłosy zawijała w płachtę. Zarzucała ją sobie na plecy. Brałem dzban i kosę. Wracaliśmy do domu przez łąki, przez błonie, przez sad.

Nad domem stała gwiazda. W stodole stało czerwcowe siano wysokie i zielone jak woda. Rozbierałem się szybko i wchodziłem w to zielone siano po szyję, po uszy. Zapadałem się aż po jego przesycone kminkiem dno. Zasypiałem. A nade mną przepływały dynie, dzikie jabłka, wszelkie ryby podobne do ruchliwych wrzecion. Budziłem się wśród tych jabłek, dyni i ryb. Wychodziłem z tej zielonej wody pełnej kminku i piołunu.

Podchodziłem do studni. Czerpałem wodę. Wlewałem ją do drewnianego koryta. W tej wodzie z kredy, z włochoatego żelaza, zanurzałem się do pasa. I znowu wchodziłem pod sad. Na babce wbitej w wierzbowy pień klepałem kosę. Matka wychodziła na ganek z zawiniątkiem pod pachą, z glinianym dzbankiem w ręce. Brałem kosę na ramię, zrównywałem się z matką. Szliśmy przez sad, przez błonie, przez łąkę na to pole pod lasem całe w niebie, w zbożu, w przepiórkach.

Byłem gospodarzem. Wydoroślałem. Moje ciało stwardniało w ił, w glinę. Gdy stuknąłem pięścią w ramię, w udo, w brzuch - moje ciało dzwoniło. Tak dzwonią dobrze wypalone garnki.

Nie byłem nawet zmęczony nieustanną kośbą. Po powrocie z pola wchodziłem pod lipcowy sad. Obcinałem piłką zeschnięte gałęzie. Poszywałem odartą z kitek szopę. Czyściłem do połysku końską uprząż.

Zaczynała się zwózka zboża. Zwoziłem je drabiniastym wozem, jadąc tuż nad stawem. Śpiewałem. Z wysokości wozu widziałem, jak po dnie stawu przejeżdża lekko przechylony wóz cały w zbożu, w słońcu wsiąkającym w snopki. Na szczycie tego zboża siedział chłopiec z ptakiem w twarzy, śpiewający przez pagórki, przez doliny, błonie i przez sad.

O zmierzchu wchodziłem do stajni. Koniom za drabiny wrzucałem obcięte sierpem kłosy żyta. Szczotkowałem ich zady do rozjaśnionej wody, do złotego dna. Któregoś dnia zabrałem się nawet z matką do zalepiania dziur między belkami domu. Do bielenia. A później naciałem dębowych i akacjowych gałązek. Powtykałem je w kitki okapu. Dom pachniał akacjowo, dębowo.

Siadywałem na progu. Spoglądałem przez sad, przez błonie, przez łąki. Widziałem tamten brzeg rozkrojony do dyni. Po nim szła ta obcoplemienna dziewczyna. Podnosiłem się z progu. Śpiewałem. Matka dołączyła się do mojego śpiewu.

Za sadem, za łąką, brzegiem lasu szedł ojciec w białej koszuli, bosy. Na plecach niósł kuferek malowany w pawia. Paw krzyczał, uciekał. Kuferek podskakiwał na plecach ojca. Odmykał się. Z brzękiem wysypywały się z niego dolary.

To u wójta rozpoczynała się "dobranocka". Bił bęben przez sad, przez

łonie, przez las. W lesie huczały basy. W lesie zakwitła paproć. Przez tę paproć szła wójtówna pod rękę z synem organisty. Za nimi w pawich piórach, w czarnym suknie szli drużbowie. Śpiewali.

I tak nieustannie przechodziły przeze mnie wszystkie zboża, wesela, matka moja, dom, sad. Po ich przejściu zostawał na mojej skórze blask podobny do puchu po złotej renecie. A we mnie było błonie fioletowe od wierzb. Po tym błoniu w sukiennym ubraniu, w białej koszuli, w kaszkiecie, w co tylko kupionych czarnych boksowych trzewikach szedłem, podskakując z uciechy, na parafialny odpust.

Przedemną po wzgórzach jechali na wózkach, cali we wstążkach, w piernikach, w sianie, kramarze. Za nimi jechali cudotwórcy, "kaliki", żebracy. Jedni milczeli, inni grali na trąbkach, jeszcze inni podrzucali nad sobą drewniane kulasy i drewniane ręce, upadali na ziemię, turlali się po trawie, stawiali koziołki, chichotali, śpiewali, pili wódkę, gryźli czosnek, kielbasę, pestki słonecznika, krwawą kiszczę. A za nimi szły psy. Pożerały skórki po kielbasie, po krwawej kiszce. A za psami szedłem ja w to niebo nakłuwane do krzyku przez dzwonnice, przez wieżyczkę drewnianego kościołka.

Pod kościołem był tłok. Koń przy koniu, kram przy kramie. A nad końskimi łbami, nad drelichowymi budami kramów, nad ludźmi przelatowała w czerwieniach, w żółciach i w czerniach drewniana karuzela. A pod tą karuzelą stał człowiek z twarzą pomalowaną na biało wapnem. Grał na guzikowej harmonii. Śpiewał.

Przecisnąłem się pod karuzelę. Wszedłem w śpiew biało pomalowanego człowieka. Przez jego kapelusz z piórami, przez złożone miechy guzikowej harmonii zobaczyłem tę obcoplemienną dziewczynę stojącą po drugiej stronie karuzeli. Przez jej twarz przelatowała czerwień, żółć i czerń jeżdżących na karuzeli. Przepychałem się pod tą czerwienią, żółcią i czernią wprawioną w wir, w pisk, w zapach potu, siana i ziemi. Byłem już przy dziewczynie. Z twarzy jej ulatywał biały ptak. Oczy jej były jeszcze pełne przelatującej czerwieni, żółci i czerni. Ale już coraz częściej między tymi kolorami prześwitywała moja twarz cała w drapieźnym ptaku, w puchu poszarzałej renety.

Wziąłem ją za rękę. Wyprowadziłem spod karuzeli, z tego śpiewu bielonego człowieka, spod tych miechów harmonii rozciągniętej do złota. Wszedłem z nią między wozy, łby końskie, między siano i kramy. W jej twarzy uspokoił się ptak. Pokazywałem jej wstążki, koguciki z gliny, pierścionki. Zaprzeczała głową. Z żerdki straganu zdjąłem serce z piernika. Podałem jej. Wyraźnie się ucieszyła. Szła obok mnie z tym sercem zawieszonym na szyi.

A przed nami szedł kościół obwieszony po okap drewnianymi kulasami, rękami, wrzeszczącymi głowami cudotwórców, żebraków i "kalików". Rzucąłem na te drewniane kulasy i ręce, na te głowy ucięte u ramion, przez łby końskie, przez wozy, po halerzu, po dziesiątce. Dziękowałem tym głowom, tym drewnianym kulasom, tym ręką za to, że mi przywiedli na ten odpust dziewczynę z ptakiem w twarzy, z łasicą na plecach.

Mówiłem do niej: - Magduś.

**Ona do mnie: - Pawełek.**

**A w nas kręciła się karuzela od złota do czerwieni, od czerwieni do złota. Od sadu do sadu. Z gałęzi spadały jabłka czerwone i złote. Pełno było tych jabłek w plecionych koszach, w sianie, na wozach. Poczzerwieniał od nich ten odpust cały w karuzeli, w dzwonnicy, w łbach końskich, w cudotwórcach.**

**Mówiliśmy do siebie głośno. Coraz głośniejsze. Niemal musieliśmy krzyknąć, aby się móc zrozumieć. I w tym krzyku, w tych jabłkach toczących się spod sadu przez błonie, przez pole, w kosze, w siano, w półkoszki, spłoszyłem z jej twarzy białego ptaka, a z jej pleców łasicę. Teraz łasica biegła po mojej ręce, po plecach, po szyi obnażonej do miazgi. Z mojej twarzy uciekał ów ptak dziki spłoszony. I zlatywał boleśnie w jej podbródek, w jej policzki, w jej czoło. A z jej twarzy uciekał ów ptak biały spłoszony. I był w moim podbródku, w mojej twarzy, w moim czole. Widzieli to ludzie. Klaskali. Śpiewali o rucie. Obrywali gałązki wierzbowe. Rzucali je na nas, na łasicę, na ptaki.**

**W gałązkach, w liściach uciekliśmy z odpustu, z jego czerwieni, żółci i czerni. Wpadliśmy do kościółka. Pod drewnianym chórem spostrzegłem, jak w twarz Magdusi powraca biały ptak. W mojej twarzy uczułem drapieżcę. Rozeszliśmy się. Magdusia szła przez kościół pochylona do przodu. Przez jej plecy przebiegała łasica.**

**Nie poszedłem na ulubione miejsce pod amboną. Stałem w cieniu pod chórem. Stąd widziałem, jak Magdusia wchodzi pod drewniany fiolet świętego Józefa, zdejmując z szyi piernikowe serce i wkładając je w drewniane ręce tego obcoplemiennego cieśli. I wszystko w tym drewnianym kościółku było obcoplemienne. I Chrystus, i Maria, i aniołowie człapiący w sandałach przez drewniane niebiosy. Bałem się tej dziewczyny, tych świętych wchodzących w drewno, wychodzących z drewna. Zdawało mi się, że wchodzi tam, aby zanieść to piernikowe serce, włożone w ręce cieśli, ptakom z siarki, zwierzętom z żelaza. A wychodzą stamtąd, aby przynieść Magdusi serce żywe, wyjęte przez krtania z ciała koźlęcia, zawinięte w jedwab, przebite na wylot.**

**A ona klęczała pod tymi sękatymi rękami wyjętymi niezdarnie z akacji. Były to ręce ojca zdjęte z kosy, z siekiery, z łba końskiego, z mej głowy. I już nie było pod tymi rękami tej obcoplemiennej dziewczyny. Stała tam moja matka. Spoglądałem na nią przez ten kościół zaledwie przebity do światła przez drewniane dzidy i strzały. Ale te strzały przechodziły przez ręce i przez plecy matki. Jedna drżała w jej szyi. Matka znowu płakała. Przez jej plecy przebiegała łasica. Matka wstała z klęczek. Podeszła do świętego Józefa. Wyjęła z jego rąk piernikowe serce. Zawiesiła je sobie na szyi. Chciałem biec do niej, ucałować jej ręce, wyjąć strzałę z jej szyi. Miałem ochotę wziąć drewnianego cieślę pod pachę. Uciekać z nim przez kościół, przez odpust cały w czerwieni, żółci i czerni - na pola. I tańczyć z nim przez łąki - do lasu. Do zmierzchu.**

**Bo to była Magdusia. Cała w strzałach, w białym ptaku, w łasicy.**



## Sidla

Niemal codziennie przychodziłem nad rzekę. Rozbierałem się, ubranie związywałem w węzełek rzemiennym paskiem, przytraczałem do karku i przepływałem na drugi brzeg. Po wyjściu z wody, po trosze dla rozgrzewki, a przede wszystkim po to, aby moja skóra jak najszybciej obeschła, biegałem po piasku. Gdy moja skóra złociła się do gryczanego puchu, ubierałem Inianą koszulę, wskakiwałem w cajgowe portki, włosy przyczesałem palcami, przeglądałem się w przepływającym nurcie, poprawiając nad czołem kędzierzawe pasmo. Byłem gotów.

Rozchylając gałązki rokiciny, szedłem ostrożnie po piasku zarośniętym gorzką trawą. Dochodziłem do pól kukurydzy, w dyniach, w słonecznikach. Tu już czekała na mnie ta obcoplemienna dziewczyna. Wybiegała do mnie pomiędzy kukurydzy, dyni, słoneczników. Przez jej twarz, ręce przepływały jeszcze złote plamy dojrzewającej kukurydzy. Całowałem te plamy złota. Ścierałem je ostrożnie grzbietem dłoni. Pod nimi był biały puch, jedno źródło u szyi i dwa źródła w przegubach. Piłem z tych źródeł. Miały smak asparagusa, laskowych orzechów, brzoźowego rdzenia.

A później siadywaliśmy tuż obok dyniowego pola w dołku wysiorbanym do błękitnego piasku przez jęzory deszczu. Prawie nie mówiliśmy do siebie. Głaskałem ją po głowie, po coraz głębszych źródłach na szyi i w przegubach. Ona zasypiała.

U moich kolan rosły dynie. Takie wielkie głowy ścięte u tętnicy, pomalowane w zielone pasy, zasadzone w ziemi. Bałem się tych głów. Huczało w nich. Zdawało mi się, że te ścięte głowy, pigmentowane ostro, dostają szerokich ust w wąsach, w dymie, że chlepczą od samego bierwionowego dna jabłecznik i czkają rozmawiając o nas. Kopałem je piętami. Odpychałem je rękami od naszych kolan. Ale one były ciężkie. Obsuwały się na powrót w nasz dołek wylizany przez deszcze.

Budziłem Magdusię. Z jej pleców płoszyłem łasicę. Z jej przegubów dopijałem źródła. Śmiała się z mojego przerażenia. Targała mnie za uszy. Z mojej twarzy ulatywał drapieżca. Brałem ją na ręce, biegałem z nią między kukurydzą, dyniami, słonecznikiem. Przez jej skórę przepływało złoto. Wchodziłem z nią między rokicinę. Dochodziłem do wody. Stawiałem ją ostrożnie na piasku.

Nachyleni nad wodą patrzyliśmy w jej wilklinowe dno. Szły tam ryby podobne do wrzecion. Nawijały na siebie jedwab, len i sukno. Stawał się zmierzch. W owym zmierzchu widzieliśmy nasze twarze tuż obok siebie. Ale wtedy z jedwabiu, lnu i sukna wypływały znowu te obcięte u tętnicy głowy pomalowane w zielone pasy. Wchodziły między nasze głowy, otwierały usta w wąsach, w dymie. Odskakiwaliśmy od siebie. Głowy szły na dno. Znikały zaciągane jedwabiem, lnem i suknem. A myśmy krzyczeli.



Brałem Magdusię na ręce. Biegłem z nią przez gałązki rokiciny, przez pola kukurydzy i słonecznika. Przez jej skórę przelatywał cień. Wchodziłem z nią aż pod kurne sady. Stawiałem ją pod ich biskupim fioletem, pod papieską żółcią. Na dobranoc zamykałem jej palcami powieki. Odchodziłem, niemalże uciekałem przez słoneczniki, przez kukurydzę, przez dynie. Za mną biegły te głowy ucięte u tętnicy, całe w wąsach, w dymie, pomalowane w czarne pasy, wołające.

Przepląwałem przez rzekę. Wchodziłem na nasz brzeg w owsach, w prosie, w gałązkach olchowych. Osmykując garściami owies, proso i olchowe liście, szedłem do domu. Na moje dno opadały powoli te obcięte głowy. Zarastała je trawa, zasypywał je owies, proso i olchowe gałązki. Był już we mnie sad z czerwonym jabłuszkiem u szczytu, z kukułką. Z tym jabłkiem, z tą kukułką wchodziłem w siano, w jego piołun i kminek. Zasypiałem.

A dzisiaj siedzę już w tym domku, u tej wdowy z obcego plemienia. Siedzę na ławce tuż przy oknie z wybitą szybą. Na jej miejsce wstawiono wyprawiony świński pęcherz. Przez ten pęcherz widać kurny sad śliwkowy, parę grusz. Dalej nic nie widać. Zaledwie jakiś zarys naszego brzegu w drucianych żyłkach, w moczu ściętym w kryształki soli i wapna.

Przede mną siedzi wdowa. Za jej plecami jest ściana w garnkach, w rondlach, w drewnianych łyżkach. Na tych naczyniach, w ich wnętrzu jest dużo światła. W tym świetle jest głowa wdowy, jej szyja, jedwabny szal. A tuż przy mnie siedzi z ptakiem w twarzy, z łasicą między łopatkami ta obcoplemienna dziewczyna. Nad nią wisi przetak i maselniczka widziana przeze mnie ubiegłej zimy w przelocie nad sadem zasypianym śniegiem.

Na stołku u moich kolan stoi koszyk. Pełno w nim owoców. Biorę te owoce w fiolecie, w złocie, w purpurze. Jem. Na moje ręce tryska sok. Zjadam ich fioletem, purpurę i złoto. Ścierpły mi zęby. Mój brzuch zaokrągliła się po wójtowsku, po dziedzicowsku, po królewsku. A ja ciągle chrupię owoce. Już mi się wydaje, że przemieniłem się w jabłko, w gruszkę, w śliwkę. Już mogę wejść w zimowe siano. Mogą mnie stamtąd wyjąć w Wigilię, zawiesić na choince. A wdowa nic. Siedzi pod ścianą. Ze ściany na jej głowę, na szyję, na szal spada światło z rondli, z garnków, z łyżek.

Wdowa się śmieje. Wdowa podchodzi do mnie. Zabiera koszyk z owocami. Bierze mnie za rękę. Prowadzi do komory. Przechyla moją głowę nad konewką. Piję z niej. Ścieka we mnie włochate mleko cedzone na piołun, na cukier. Rękawem obcieram usta. Całuję wdowę w rękę. Ona mnie ciągnie za włosy, za uszy. Całuje w czoło. I znów siedzę przy oknie. Ale nie ma już przede mną plecionego koszyka z owocami. Siedzę tuż przy Magdusi. Matka wyszła pod sad. Biorę dziewczynę za rękę. Biegam z nią po izbie. Tańczę. Sadowię ją pod tą ścianą w garnkach, w rondlach, łyżkach. Na jej głowę, na szyję sypie się blask. Teraz Magdusia jest tu gospodynią. Matką. Obcinam nożyczkami mirt i asparagus z doniczek. Sypię mirt i asparagus na włosy, na rękę, na kolana dziewczyny. Spoglądam w sad. Przez pęcherz w oknie widzę wdowę w fiolecie, w żółci. I nagle widzę te głowy obcięte u tętnicy,

pomalowane w zielone pasy, zasadzone po usta w słonej ziemi. Krzyczę. Tupię nogami. Biorę tę obcoplemienną dziewczynę za ręce i uciekam z nią spod tej ściany w glinianych garnkach, w rondlach i łyżkach.

Odtąd niemalże codziennie bywałem w domu wdowy. Przyjmowano mnie gościnnie. Częstoowano kobyli mlekiem, kawałkami dyni duszonej w miodzie, kiszanej w occie. Kilkakrotnie, gdy woda w rzece podnosiła się wchodząc daleko w wiklinę, niemalże pod kukurydziane pola, zostawałem na noc u wdowy. Spałem w stodole, w sianie pachnącym końskimi nozdrzami, psem i przymrozkiem. Budzono mnie wcześniej, jeszcze pod gwiazdą poranną. Wchodziłem z Magdusią w sad. Zrywaliśmy owoce. Znosiliśmy je w koszykach na siano, na strych zaścielony po kostki owsianymi plewami. Byłem w tym domu po trosze gospodarzem i bratem.

Kiedy już się niemal zadomowiłem, spostrzegłem, że pod sadem jest coraz więcej ścieżek. Jeszcze z końcem lata były tylko dwie przecinające sad na krzyż. Teraz, kiedy wyschła wysoka trawa podbita gęstą sierścią, ścieżek było z każdym dniem coraz więcej. Wszystkie wiodły promieniście pod okienko z rozbitą szybą. Zaczęły mnie te ścieżki coraz bardziej niepokoić.

Pewnego dnia, w sobotę, po zasianiu pod lasem zimowego jęczmienia, jak zwykle przepłynąłem przez rzekę. Ale nie poszedłem do wdowy. Tuż obok sadu ukryłem się w kopce kukurydzianych łodyg.

Razem z wieczorną gwiazdą zaczęli promieniście wchodzić pod sad obcoplemienni chłopcy, moi rówieśnicy. Przynieśli ze sobą guzikową harmonię. Weszli pod sad. Śpiewali. W domku zapalono lampę. Chłopcy śpiewali coraz głośniej. Niektórzy tańczyli. Inni powchodzili na drzewa, na dach szopy. Zeskakiwali stamtąd w rytm piosenki. Udawali koguta, wiwilgę, kosa. Z domu nikt nie wychodził. Drzwi były zatknięte na drewniany skobel, okienko zasłonięte czarną szalówką.

Nagle pod sadem ucichło. Chłopcy chyłkiem uciekali spod drzew. Spojrzałem w przeciwną stronę. Z dworskiego pagórka, w wysokich butach, z trzcinką w ręce schodził powolutku ugięty w kolanach młodzieniec. Podobny był do świętego Jerzego z naszego parafialnego kościółka. Wszedł w sad. Podszedł do okienka. Zastukał w nie trzcinką. Uchyliły się drzwi. Stała w nich wdowa ubrana w czerwone trzewiki sznurowane do kolan, w jedwabną bluzkę, w korale. Stała pochylona. Prawą ręką zapraszała młodzieńca do izby. Zamknęły się drzwi. Zaskoczył skobel.

A ja siedziałem w tej kukurydzianej kopce z kolanami przyciągniętymi oburącz pod brodę, wpatrzony w okienko, wsłuchany w spadające we mnie mroźne dynie ucięte u tętnicy.

Święty Jerzy wyszedł od wdowy o północy. Pogwizdując, wyprostowany w kolanach, wchodził wolniutko na pagórek. Trzcinką otrzepywał z wysokich butów plamy nowiu. Chciałem biec za nim, schwytać go za gardło, stoczyć się z nim z pagórka przez sad, przez pole w diegieć, w smołę. Utyłać go w pierzu, w paździerzach. Podobnego do turonia, do dzikiego zwierza prowadzić na postronku przez całą wieś. Ale on coraz wyraźniej jaśniał na pagórku. Do

ramion, do pasa, do kolan, do obcasów z podkówkami.

Wstałem spod kopki. Zacząłem rzucać kamieniami w sad. Celowałem w to okienko z pęcherzem. Nie trafiłem. Otrząsałem wszystkie drzewa z pozostałych owoców, pozrywałem dynie wiszące na płotach. Sturlałem je do wody. Tu miażdżyłem je kamieniami, wbijając ich rozbite czerepy w piach i siwy ił. Spocony, z poobryzganymi kostkami palców, zdzierałem z siebie ubranie, związywałem je w węzełek. Płynąłem na nasz brzeg.

Nie byłem u wdowy przez dwa tygodnie. Nie jadłem, nie spałem po nocach. Całymi dniami przesiadywałem na polu pod lasem. Do drobnego maku rozbijałem motyką kwaśne bryły rędziny, wycinałem wiklinę, wyplatałem z niej kosze. Równocześnie obmyślałem zemstę.

Początkowo wydawało mi się, że najlepiej będzie, jeśli przeprawię się na tamten brzeg z naszym psem i poszczuję nim tego świętego Jerzego. I już widziałem, jak mój pies rozszarpuje zębami wysokie buty, sukienne rajtuzy, drze te mięsiste łydki na jedwab, na len, na paździerzowe konopie. Przypomniałem sobie jednak w porę, że mój pies za nic w świecie nie wejdzie do wody. Poza tym byłem przekonany, że młodzieniec ma przy sobie rewolwer.

Miałem również ochotę zakraść się nocą na dworskie wzgórze, całe w stogach siana i zboża, z dębczakiem owiniętym garścią konopi umaczanych w smole. Zapalić tę żagiew i z tą żagwią biegać od stogu do stogu. Puścić wszystkie z dymem, obrócić w perzynę. Ale również i ten pomysł wydał mi się naiwny. Przecież zanim dobiegnę do trzeciego stogu, wytropią mnie dworskie psy. Wygłodzone, hodowane specjalnie dla szczucia saren i zajęcy, rozszarpią mnie w drobne listki. Ale choćby mi się nawet i udało opalić wszystkie stogi, cóż to będzie za strata dla dworu? Panicz w naszej okolicy miał przecież całe kopy stogów.

Dopiero trzeci pomysł wydał mi się akuratywny. Na drugi dzień, skoro mrok, przepłynąłem rzekę. Już z daleka słyszałem chłopców wchodzących z harmonią pod dworski sad. Skręciłem obok sadu. Chyłkiem, niemalże na czworakach, wbiegłem na dworski pagórek. Począwszy od szczytu, co parę kroków wbijałem w ziemię, obok wydeptanej na głębokość kostek ścieżki, drewniane paliki. Do palików przywiązywałem druciane sidła. Tuż za sidłami, odmierzając wzrost śmigłego parobka, wysypywałem gaszonym wapnem grube na cal i długie na kilka cali litery. Razem tworzyły napis: STRZEŻ SIĘ PIŁY! Niżej szedł podpis: SZELA.

Akurat byłem gotów, gdy w sadzie ucichła harmonia. Spojrzałem na wzgórze. W wysokich butach, z trzcina w ręce schodził z niego dworski święty Jerzy. Zanim zdążyłem się zagrzebać w dworskim stogu, usłyszałem, że się wszystko udało.

Z ziemi, uwiązany za nogę w sidłach, podnosił się Święty Jerzy. Już był na łokciach, już na kolanach, już otrzepywał sukno rajtuzów, kiedy nagle spostrzegł napis. Przykucnął i zaczął go odczytywać wodząc palcem litera po literze. Wyprostował się. Spojrzał na dwór. Ale po chwili rozdeptał litery

obcasami wysokich butów. Znowu schodził z pagórka.

Po paru krokach wyskoczył zza jego pleców nów, eternitowy dach dworku i fragment sadu. Święty Jerzy zaplątany w sidła spadał w gwiazdach w trawę, w żwir, w noc. Zaczął zjeżdżać na brzuchu po pochyłości wzgórza. Ale sidła były mocne i krótkie. Zatrzymały go tuż przed napisem. Podnosił się na łokcie, na kolana. Czytał napis. Teraz już nie wodził palcem po literach. Wyprostował się. Obejrzał się wokół. Spojrzał na wzgórze. Przeczesał włosy palcami. Rękami otrzepał rajtuzy. Rozdeptał napis.

Zaczął schodzić ostrożnie, krok po kroku. Pagórek był jednak spadzisty. Poza tym tej nocy tuż nad ziemią stał dziegieć. I znów widziałem, jak w ten dziegieć, cały w złoconych guzikach, w wyglansowanych wysokich butach, w podkówkach, wali się ten święty Jerzy. Do moich kolan posypał się żwir. Panicz wstawał powolutku. Stękał. Wstając odczytywał, już teraz na głos i, zdaje się, z pamięci, wapienny napis. Wyplątał nogę z sideł. Spojrzał na wdowi dom, w jej kurny sad. Splunął. Rozdeptał litery napisu.

Początkowo powoli, później coraz szybciej wchodził na wzgórze. Wszedłem ze stogu. Święty Jerzy zniknął, w ujadaniu dworskich psów, między czworakami krytymi słomą. Pobiegłem na wzgórze. Wyrywałem zbędne paliki. Rozgrzebywałem rękami pozostałe napisy.

Przez wzgórze, przez sad, przez kukurydziane pola, przez wiklinę dobiegłem do rzeki. W powietrzu stał już, podobny do jabłecznika, przymrozek. Nie czułem tego. Przez rzekę przepływałem jak przez nagrzaną szeroki piec. Dobiegłem do domu, chichocząc przez całą drogę. Zagrzebując się w siano, ciągle chichotałem. Pierwszy raz od wielu dni wszedłem w samo dno kminkowego snu.

Po tygodniu zjawilem się u wdowy. Przez rzekę przeprawilem się na czółnie zbitym z desek oblanych smołą. Czółno wciągnąłem do połowy w wiklinę, wrzucając na jego dno kilka wapiennych kamieni. Było niedzielne popołudnie. Tuż nad rzeką, na schodzących do wody błoniach, na rozgrzebanych kartofliskach, na zaoranych ścierniskach obcoplemienni chłopcy wypasali konie. Przechodząc obok nich, wyjmowałem z kieszeni szare renety i rzucałem im pod nogi. Spoglądali na mnie spod niskiego czoła. Ale jabłka brali. Wycierali je z puchu. Nadgryzali.

Miałem ochotę wejść między nich, poprosić, aby mnie nauczyli rzucać nożem do kredowego koła. Zrezygnowałem jednak z tego zamiaru, kiedy podszedł do mnie krępy chłopak o twarzy podobnej do puciołowatego glinianego garnka, wrzeszcząc:

- Ej, zalotnik, daj okup!

Przeszedłem obok niego. Wtedy on zaczął rzucać za mną grudkami ziemi i żwiru. Przyspieszyłem kroku. Pozostali chłopcy powstawali z trawy, dołączając się do Puciołowatego. Wrzeszczeli, rzucali za mną ogryzkami, zeprzałą rzepą. Strzelali z batów.

Wszedłem w sad. U furtki stała wdowa. Uśmiechała się. Widocznie

wszystko widziała. Pocałowałem ją w rękę. Pociągnęła mnie za szesane na bok włosy. Pocałowała w czoło. Weszliśmy do izby. Magdusia siedziała pod ścianą z zawieszonymi garnkami. Rozczesywała włosy rogowym grzebieniem. W jej twarzy płonął ptak. Szybko zawiązała włosy w węzeł i przerzuciła je na plecy. Podszedłem do niej. Wzięłem ją za rękę. W jej przegubach coraz szybciej pulsowały źródła. Wyjąłem z kieszeni garść owsa. Rzuciłem nim w dziewczynę. Zaczęła chichotać, zasłaniać się rękami i uciekać ode mnie. Po jej plecach przebiegała łasica. Wdowa stała tuż obok. Przyciągnęła mnie do siebie, ucałowała w obydwie policzki i pierwszy raz powiedziała do mnie:

- Synku.

Po czym odepchnęła mnie od siebie tak, abym się zatoczył na stojącą przy palenisku Magdusią. Ucałowałem ją w usta. Podałem jej czerwone jabłuszko. Ona pobiegła do okna i z doniczek obciąła kilka gałązek asparagusu. Rozsypała go na moją głowę.

Siedzieliśmy pod sadem. Przez wieś szli chłopcy z harmonią. Widząc nas w sadzie, przystanęli. Tylko harmonista podszedł pod płot, zerwał z gałęzi jabłko, nadgryzł je i rzucił na dworskie wzgórze. Po czym odchodząc, zaczął grać i śpiewać jedną z tych piosenek o rucianym wianku toczącym się po błocie, po gnoju. Magdusia płonęła. Wzięłem ją za rękę i na oczach chłopców przyciągnąłem do siebie. Zaczęliśmy tańczyć. Wdowa klaskała w rękę. Zrywała jabłka, miotała je przez sad. Zakręciło mi się w głowie od tego tańca, od tych czerwonych jabłek miotanych przez sad, przez błonie niemal do wieczornej zorzy. A jeszcze później piliśmy jabłecznik. Było już bardzo późno, kiedy wciskając w rękę wdowy korale, a w rękę Magdusi wstążkę, opuściłem ich dom.

Szedłem pogwizdując. Nagle zza wilkliny wyskoczyło kilku chłopców. Zanim się spostrzegłem, leżałem na ziemi skrępowany sznurem. Wykręcono mi ręce. Na moich nogach siedziało dwóch подроstków. Nade mną nachylał się ów podobny do pucołowatego garnka chłopak. Szeptał:

- No, jakże to będzie, dasz okup?

Zaprzeczyłem głową.

- Ejże! Takiś fifak. A to może się chcesz bić?

Skinałem głową. Chłopcy wstali z moich kolan.

Rozwiązano mnie. Zerwałem się z ziemi. Chłopcy zamknęli mnie między sobą w dużym kole. Do koła wszedł Pucłowaty. Zdjął wojskową kurtkę. Poszedłem za jego przykładem. Zdjąłem półkożuszek.

Zanim się rozejrzałem w jego twarzy i barkach, dostałem w dołek. Upadłem na ziemię. On nachylił się nade mną. Wstałem. Znowu dostałem w brzuch. Upadłem. Podniosłem się. Znowu upadłem. Chłopcy w kole coraz głośniejsze chichotali. Pociemniało mi w oczach z bólu, z nienawiści. Widziałem, jak Pucłowaty z ręką zgiętą w łokciu, opuszczoną na wysokość mojego żołądka, czeka tylko, kiedy zacznę się podnosić.

Zerwałem się gwałtownie, obracając się plecami do Pucłowatego. Dostałem w szczyt pośladka. Moja pięść zwinięta w miedziany węzeł natrafiła

na jego brzuch. Pucółowaty upadł. Podnosił się stękając. Teraz ja czekałem pochylony nad nim. Uderzyłem. Znowu upadł. Był z żelaza i z drewna. Biłem w to żelazo, w to drewno. Bolały mnie pięści. Kiedy uderzyłem jeszcze raz z całej mocy, Pucółowaty został w piachu zwinięty w płowy kłębek.

Wtedy z otaczającego mnie koła wyszedł Harmonista. Zbliżył się do mnie. Położył mi rękę na ramieniu. Spojrzał mi w oczy. Czekałem. On, zwracając się do koła, rzekł:

- To nasz.

Chłopcy podchodzili do mnie po kolei. Klepali mnie po plecach. Byłem jednym z nich.

Odprowadzili mnie nad rzekę. Pomogli mi z wikliny zepchnąć czołno, wyrzucić z jego dna kamienie. Kiedy odjeżdżałem, rozpalili z suszu wysokie ognisko. W jego łunie płynąłem przez rzekę. Na naszym brzegu podniosłem wiosło nad głowę. Oni stali z tamtej strony w ogniu. Pucółowaty wyciągnął z kieszeni nóż. Rzucił nim w najbliższe drzewo. Krzyknął:

- A przyjdź do nas jutro na kredowe koło!

## Spis treści



## Kredowe koło

Nie mogłem się doczekać zmiersch. Od dwóch godzin szcztkowałem pod sadem naszego młodziutkiego kasztanka. Ponieważ był lekko ochwacony, natarłem mu pęciny terpentyną. Jego kopyta wypolerowałem do jantaru. Białą gwiazdę na czole, aby błyszcząca w nocy, natarłem kalafonią.

Wreszcie był zmiersch. Przyniosłem kasztankowi cebrzyk podgrzanej wody z rozkruszoną w niej grudą czarnej soli. Na jego grzbiet narzuciłem derkę. Ubrałem półkożuszek. W kieszeni półkożuszek leżał już wyostrzony na cembrowinie sprężynowy nóż, używany przez ojca do patroszenia upolowanych zwierząt.

Odwiązałem kasztanka od śliwki. Wskoczyłem na jego grzbiet. Koń z miejsca poszedł w kłus. Ściągnąłem go na wodzach. Zadarł łeb do góry. Teraz szedł tanecznie. Z polnej drogi skręciłem w zastodolne sady. Pod drzewami, na których tu i ówdzie złociło się jeszcze ostatnie jabłuszko, dojechałem do wiklin. Stąd do rzeki było parę kroków. Siedząc na koniu, widziałem przez pas wiosennej wikliny obcoplemienny brzeg aż po drewniane koło widnokresu. Na tym kole przesuwaly się, całe w wierzbach, w niskopiennych akacjach, w owocowych drzewach, domki tamtej wsi.

Tuż nad wodą pasły się konie. Skakały przez wiklinowe krzaki unosząc wysoko przednie nogi spętane postronkami w pęcinach. W ich strzygące uszy sypał się zmiersch.

Zarżał mój kasztanek. Odezwały się konie z tamtego brzegu. Ujrzeni mnie

**chłopcy. Krzyczeli:**

**- He-ep! he-ep!**

**Ściągnąłem jeszcze krócej kasztanka. Kopyto za kopytem zjechałem z pagórka do płytkiej rzeki. Jechałem przez nią na ukos. Począwszy od piaszczystej łachy po naszej stronie aż do przeciwległej tamy z faszyny prowadził płytki bród. Jechałem tym brodem.**

**Koło tamy czekali na mnie chłopcy. Zeskoczyłem z konia. Wyjąłem mu z pyska werbliki, spętałem postronkiem jego przednie nagi i uderzając trzcinką po zadzie, wpędziłem go w sad. Drzewa w sadzie były niziutkie. Kasztanek galopował pod nimi z opuszczonym łbem. Na jego grzywę, na wypasiony zad sypały się liście. Po chwili kasztanek był już pomiędzy szczypiącym trawę stadem.**

**- Ładnego masz konia - mówili z uznaniem. - W pęcinach - wrzeciono. W zadzie - nabity jak dziedzic.**

**Wysypałem z zanadrza jabłka. Chłopcy powyjmowali z kurtek rzepę i pieczony bób. Usiedliśmy kołem. Powyciągaliśmy z za pasków noże. Krajaliśmy na talarki jabłka i rzepę. Z półkożuszka wyjąłem flaszkę rumu jako okup. Piliśmy nalewając rum do wydrążonej rzepy. Kiedy flaszką była pusta, zjedzony bób i jabłka, rozbiegliśmy się pod sad, w wiklinę, w pola. Znosiliśmy perz, łodygi kukurydzy, badyle, wiklinowy susz. Układany w pryzmę, rósł nad nami stos. Pucółowaty skrzesał ogień. Stos zapłonął. Skakaliśmy przez coraz wyższy ogień. Tańczyliśmy wokół ogniska. Kiedy stos się dopalał, do żarzącego się popiołu wsypało ziemniaki.**

**Harmonista zaczął grać. Szliśmy za nim gęsiego przez sad, przez akacyjny zagajnik na błonia, gdzie rosła wierzbowa dziedzica. Usiedliśmy przed nią półkołem. Na znak dany przez Pucółowatego powyciągaliśmy z za pasków noże. Wbiliśmy je w ziemię. Pucółowaty zdjął czapkę i wsypał do niej garść kamyków. Z tą czapką podchodził do każdego po kolei. Chustką zawiązywał nam oczy. Kamyki wyciągaliśmy z czapki na oślep. Biały kamyk, podobny do gołębiego jajka, dostał się Harmoniście.**

**Harmonista wyjął nóż z ziemi. Wyszedł z koła. Na jego miejscu usiadł Pucółowaty. A Harmonista podchodził do dziedzicy. Dopiero teraz zauważyłem, że przed dziedzicą, jakieś piętnaście kroków przed nią, jest wysypane gaszonym wapnem koło. Na korze dziedzicy było narysowane kredowe koło. Nie było większe od dużej ludzkiej głowy. Harmonista wszedł w koło.**

**Na wyciągniętej prawej dłoni trzymał nóż. Ostrze noża dotykało tętnicy w przegubie. Trzonek noża był wsparty o wskazujący palec. Harmonista postąpił krok naprzód, odchylił się do tyłu i z wysokości szyi rzucił nóż. W powietrzu błysło. Nóż wbił się w korę. Z półkoła podniósł się Pucółowaty. Podszedł do dziedzicy.**

**- Wbił się obok! - krzyknął i podrzucił wyciągnięty z kory nóż Harmoniście.**

**I tak po kolei każdy z nas rzucał siedmiokrotnie w kredowe koło. Zdawało się,**

że nikt tego wieczoru nie wygra. Byli wprawdzie tacy, którzy trafili w koło cztery, pięć, a nawet sześć razy. Nikomu jednak nie udało się wbić noża siedmiokrotnie.

Wtedy do koła wszedł Pucółowaty. Stał w wysypanym wapnem kole zwrócony plecami do drzewa. Nagle obracał się na pięcie i, nie celując, rzucał nóż. Za każdym razem trafiał niemal w sam środek kredowego koła. Wyciągałem nóż z drzewa, podrzucając go Pucółowatemu. Trafił siedmiokrotnie.

- Hurra! - wrzasnęliśmy wszyscy, podrzucając czapki. Podrostek pilnujący pieczenia ziemniaków dorzucił do ogniska wiązkę suszu. Buchnął płomień przez sad, przez akacjowy zagajnik. Dopiero w dochodzącym aż na błonia blasku ogniska spostrzegłem, że w kredowe koło jest wrysowana zwierzęca głowa. Była to dzika głowa obcięta tuż u szyi, z wyrwaną tętnicą wnikającą w korę. Jej pysk był rozchylony w krzyku. Wystawał stamtąd jęzor wywalony poza kły. Cała podziurawiona nożem, krwawiła wypływającym spod kory jesiennym sokiem, miążgą ścinającą się w korek. Gładziłem palcami te zadziory w korze. Zauważył to Pucółowaty. Stracił moją rękę.

- To jest głowa wilka. Głowa czarownika. Co ty robisz? On nam porywał źrebięta, owce, wykradał do lasu nasze dzieci. Nasi ojcowie zdybali go w lesie. Zabili go osikowym oszczepem. Teraz my co roku tak go zabijamy.

Ze stada przyprowadzono białego ogiera. Szedł z łbem w Mlecznej Drodze, z pęcunami w iskrach. Za nimi szedł weselnie ogon. Któryś z chłopców wyjął z wierzbowej dziupli szablę. Pucółowaty wskoczył na grzbiet ogiera. Podano mu szablę.

Od dziedzicy przez błonie, niemal do wielkiej gwiazdy tuż nad horyzontem, były zawieszane na grochowych tykach pozrywane dynie. Pucółowaty trzepnął trzcinką po zadzie ogiera. Siwek poszedł w galop. Nad głową Pucółowatego błysnął kłębek Inu. Koń szedł pomiędzy tykami z nabitymi na nie dyniowymi głowami. A Pucółowaty przechylał się to na prawo, to na lewo i ścinał te głowy. Spadały w mrok. Toczyły się po błoniu aż pod gwiazdę świecącą u widnokresu. Bulgotał w nich miąższ. Sypały się pestki. Pucółowaty dojeżdżał już pod tę gwiazdę wpiętą w czarne sukno widnokresu. Przechylił się na prawo. Nad nim błysnął kłębek Inu. Dynia spadła w gwiazdę, w gałązki czerwonej wikliny, w ił. Trysły z niej pestki. A widnokres na drewniany kołowrót wciągał szerokie płótno malinowej zorzy.

Przez tę zorzę kłusowały konie. Dużo koni. Wszystkie kare. Z wyjątkiem prowadzącego stado, reszta koni kłusowała bez jeźdźców. Na koniu prowadzącym stado jechał może rycerz, może święty, a może czarownik wyprostowany w siodle, z dzidą osadzoną przy nodze i trzymaną prostopadle do nasłuchujących stromo końskich uszu. Z błonia naciągniętego jak juchtowa skóra na pagórek widzieliśmy, że ten (może rycerz, może święty, a może czarownik) podobny był do każdego z tych obcoplemiennych chłopców.

Konie prowadzone przez jeźdźca przechodziły przez las, przez skrawki



nieba pozszywane z horyzontem w wiklinowe kosze. Stado wyszło z lasu, z resztek tyczkowego grochu. Prowadzone coraz szybciej weszło na niebo rozciągnięte tuż nad dachami domów, szop i stodół. Teraz stado przeszło niemal w galop. Wtedy jeździec uniósł się w strzemionach, wyszarpnął dzidę, odchylił się w siodle, i gdy koń w galopie spadał kopytami na strzechy domów, szop i stodół, wyrzucił ją w nów. Dzida trafiła w lewy róg miesiączka. Nów podskoczył jak żniwny sierp odrzucony na złoty pas pszenicy.

A jeździec galopował dalej. Powietrze czuć było żelazem, mlekiem karmiących zwierząt, rozdzieranych włóknem. Jeździec galopował dalej. Za nim szło stado. Ale już nie dziko. Po kolei, począwszy od czoła stada, wskakiwali na osiodłane konie obcoplemienni jeźdźcy. Z każdą chwilą było ich coraz więcej. Kiedy zjeżdżali z ostatnich strzech stodół, szop i domów, wszystkie konie unosiły jeźdźców. Wyjechawszy z wsi, jeźdźcy pojedynczo znikali w dworskim wzgórzu.

- Na koń! Na koń! - krzyknął któryś z nas. Przez akacjowy zagajnik, popod sadem, dobiegliśmy do naszych koni. Nożami rozcięliśmy postronki u końskich pęcín. O końskie zęby zadzwoniły werbliki.

I już krzycząc cwałowaliśmy na ukos przez dworskie wzgórze. Konie, przynaglone bosymi piętami, wiklinowymi trzcinkami, rżały coraz głośniej. W galopie ścigały łby między przednie nogi, uskakiwały w bok, chcąc nas zrzucić z grzbietów. A myśmy pędzili coraz szybciej. Kiedy po-za nami pozostała wieś, dworskie wzgórze, druga wieś, las i łąki, na ogromnym błoniu dopędziliśmy jeźdźca prowadzącego wojowników.

Ich konie, zbite w stado, ale pod siodłem, pasły się w pobliskiej, zwarzonej przez przymrozek ścierniówce. Jeźdźcy siedzieli przy rozpalonym ognisku. Jedli surową i suszoną rzepe. Niektórzy piekli nabite na noże kawałki wątroby. Zsiedliśmy z koni. Do ogniska podchodziliśmy zbici w gromadę. Jeźdźcy, unosząc się na łokciach, zrobili nam miejsce. Weszliśmy między nich. Podsunęli nam pieczoną rzepe. Podawali nam kawałki wątroby. Gdy dojedliśmy rzepe i wątrobę, jeźdźcy sięgnęli poza siebie. Każdemu z nas podali drewniany łuk.

Jeźdźcy, zaszyci w jedwab, w baranie skóry, cuchnący piżmem, dzikim czosnkiem, śpiewali, rytmicznie poruszając się z boku na bok. Przez ich twarze o nisko opuszczonym czole przelatywały dopalające się wsie, zboża, patroszone z jelit, z płuc, z wątroby zwierzęta. Zwierząt tych było dużo. Wisiały między drzewami uwiązane u gałęzi za tylne nogi. Jeszcze dalej w jeźdźcach stała złota woda i sięgający po brzuch koński step. W ten step zarośnięty wysoką trawą były powbijane zaostrzone koły. Na tych kołach były osadzone głowy. A oni śpiewali poruszając się rytmicznie między dopalającym się zbożem, patroszonymi zwierzętami i pomiędzy stepem czerniejącym od wbitych na pale głów.

Ogniska powoli dogasało. Jeździec prowadzący stado podniósł się z ziemi. Podeszedł do ogniska. Ze skórzanego worka wyjmował garście prosa i lnianego siemienia. Sypał to siemię, to proso w żarzący się popiół.

Zapachniało prażonymi jagłami i rozlewany na gorącą blachę Inianym olejem. Ognisko dogasło.

Jeździec zagwizdał na palcach. Wojownicy poderwali się z błonia. Wstaliśmy i my. Przez błonie, otoczeni półkolem jeźdźców, przez swąd dopalających się jagieł i Inianego oleju doszliśmy do pobliskiego lasu. Tu jeźdźcy, ciągle otaczając nas półkolem, kazali nam przykłęknąć. Jeździec, który przyprowadził stado, stanął u prawego skrzydła półkola. Podniósł rękę nad głową. Jeźdźcy, stojący poza nami, unieśli dzidy na wysokość szyi. Jeździec opuścił dłoń. Nad nami przeleciały dzidy. Poczerniało powietrze. Las, przeszywany coraz głębiej, stał na krzyku dobijanych zwierząt, pasących się pod leszczyną. Teraz jeźdźcy wyszli przed nas. Uklękli. Jeździec podniósł dłoń. Powstaliśmy z klęczek. Staliśmy w rozkroku. Prawa ręka naciągała cięciwę, a lewa między średnim a wskazującym palcem podtrzymywała grot. Celowaliśmy w czarną koronę leszczyny. Tam, gdzie zazwyczaj drzemia bażanty i cietrzewie. Dłoń rycerza spadła przez wiśniową zorzę. Pociemniało tuż pod zorzą. Czarna korona leszczyny, przeszywana przez strzały, krzyknęła przez sen, spadając na połamane skrzydła.

Rycerz wyjął z zanadza piszczalkę. Przytknął ją do ust. Grał. Była to jedna z tych rzewnych pastuszych melodii o rozległym błoniu w gęsiach, w babim lecie, w kretowiskach. Uciszyło się w lesie. Czuć było połamanymi piórami, przebitym osierdziem, pośmiertnym łajnem.

Jeźdźcy wstali z klęczek. Zostawiając nas, weszli w las. Po chwili wyszli stamtąd, niosąc na uciętych żerdkach dwie zabite sarny i kilka ptaków. Nożami nacinali skórę na pęcinach zwierząt. Obłupywali je, patroszyli wydzierając rękami wnętrzności. Również ptaki były wypatroszone i odarte z piór. Jedni w rozcięte zwierzęta i ptaki sypali sól i kminek, wkładali kawałki surowej dyni, dzikie jabłka, kolby kukurydzy. Inni już rozpalali ognisko. Zwierzęta nabito na dzidy. Zawieszono je nad ogniskiem, osadzając końce dzid na związanych z dwóch leszczynowych prętów stojakach.

Gdy obracane na dzidach mięsiwo zaczęło skwierczeć, kilku jeźdźców przyprowadziło pod las pasące się w cierniówce konie. Kilku następnych idąc wzdłuż lasu, tam gdzie najjaśniej świecił nów i zorza, ustawiało ludzi. Byli to ubrani w złoto mieszczanie, podrastające panienki w krynolinach, w koralach, podrostki z giętkim, leszczynowym kręgosłupem.

Wszyscy jeźdźcy wsiedli na konie. Półkolem, coraz szybciej, dojeżdżali do ustawionych pod lasem mieszczan, dziewic i młodziutkich chłopców. Błysnęły szable. Z mieszczan sypały się trociny, sosnowe wióry, siano. Dziewki porywano na siodła, uciekano z nimi przez zorzę, przez nów. Chłopcom zarzucono pętle na ramiona i wleczono ich za końskim ogonem. Po chwili widowisko było skończone. Jeźdźcy zsiadli z koni. Weszli między nas. Śpiewali, poruszając się rytmicznie.

Po tym śpiewie jedliśmy kruche mięso przesycone kminkiem, dynią, dzikimi jabłkami i prażoną kukurydzą. Wycinane nożami po kawałku z ptaków i zwierząt, smakowało nam wyśmienicie. Połykane chciwie, napełniało nasze

żołądki niemalże do bólu. A później jeźdźcy dali nam pić. Piliśmy wprost ze skórzanych worów. Było to wino zmieszane ze źródlaną wodą braną z leśnego źródła. Napitek czuć było skórą, sosnowymi igłami i rdzewiejącym żelazem. Podchmieleni, śpiewaliśmy razem z jeźdźcami. Była to piosenka o wojence w koniach, w jeźdźcach spadających przez wiechcie słońca, przez rozryte kopytami niebo - w pszenicę, w sad, w stratowany łą.

Tuż przed świtem jeźdźcy zaczęli się szykować do odjazdu. Chcieliśmy jechać z nimi. Nie dali nam. Staliśmy na jaśniejącym błoni przy naszych koniach, trzymając je krótko za uzdę.

Na czele oddziału stanął ten sam jeździec, który o zmierzchu wiódł tę obcoplemienną konnicę przez zorzę nad dachami wsi. Ostrogami ubódł konia w podbrzusze. Koń poszedł w kłus. Za nim kłusowało całe stado. Wojownicy pojedynczo wjeżdżali na wzgórze, na niebo. Po chwili najpierw jeździec prowadzący stado, później pozostałych jeźdźców zaszył dworski las. Zza tego lasu jeszcze długo słyszeliśmy brzęk podków, skrzyp siodeł i rzenie koni. Kiedy już nic nie było słychać, dosiedliśmy koni.

Z rówieśnikami pożegnałem się na dworskim wzgórzu. Prowadząc konie na skróconej uździe, wjechałem w sad wdowy. Chciałem zapukać w okienko. Było jednak zbyt wcześnie. Nad sadem, na szczycie jedynej jabłoni jaśniało jabłuszko. Zdjąłem łuk z pleców. Celowałem w to ostatnie jabłko u szczytu sadu. Jabłko przeszyte strzałą rozsypało się w kawałki. Zza widnokresu wschodziło słońce.

W tym słońcu, w cieniutkim lodzie, w zwarzonych liściach przejechałem przez bród. Kiedy podjeżdżałem pod dom, matka schodziła z ganku ze skopcem na poranny udój. Spojrzała na mnie przecierając oczy. Wytłumaczyłem się, że na wypasie zaspiałem zagrzebany w kopce siana. Rozebrałem konia. Wszedłem do stodoły. Naciągnąłem na głowę pierzynę. Zasypiałem. Nade mną z dwóch przeciwnych wzgórz zjeżdżała w bojowym szyku konnica.

## [Spis treści](#)



## Strzelba

Od kilku dni sypał śnieg. Do sadu zbłękitnego aż po drobne gałązki koron coraz częściej wchodziły zające. Ogryzały gałązki malinowych i wiklinowych krzewów. Gdy krzewy weszły pod śnieg, zabrały się do cięcia jabłonkowych szczepów. Wchodząc któregoś dnia do sadu, przeraziłem się. Wszystkie jabłonkowe szczepy były ugryzione z kory. A dopiero w październiku przyniosłem je ze szkółki kościelnego. Sadziłem je o zmierzchu, podsypując pod ich korzenie próchno wygrzebane z wierzbowych dziupli. Pobiegłem do domu. Jabłonki zranione do białej miazgi zalepiłem gliną rozrobioną z krowim

łajnem. Wszystkie szczepy opatuliłem kłociową słomą.

Postanowiłem wystrzelać wszystkie zające wchodzące w nasz sad. Ze strzechy szopy wyciągnąłem ojcowską dwururkę. Począwszy od zmierzchu niemal do samego rana ślęczałem z dwururką przy oknie wychodzącym na sad. Strzelałem do zajęcy. Nigdy jednak nie udało mi się ustrzelić żadnego. Dziwiło mnie to. Kiedy ojciec był u barona gajowym, kilkakrotnie wybierałem się z nim na polowanie. Strzelałem z tej samej strzelby i zawsze trafiałem. Podejrzywałem, że kryje się tu jakiś szwindel. Nazajutrz postanowiłem się wybrać ze strzelbą do dziadka.

Ubrany w ojcowski kozuch, w buty z cholewami, wyszedłem z sadu na błonie odgródzone od pól wiklinowym płotem. Przez przełazek w płocie wszedłem na pola, a z pól na łąki ciągnące się aż do samego lasu. Pod lasem, na uboczu wsi mieszkał mój dziadek. Szedłem po rozległej równinie upstrzonej kopiastymi kępkami wikliny, zapadając się po kolana w sypkim śniegu.

Kiedy przyszedłem pod dziadkowy dom, było już koło południa. Zastukałem w okienko ogacone dębowymi liśćmi zsypanymi za grodzoną z wikliny laseę. Nikt się nie poruszył w izbie. Wszedłem do sieni. Moja babka, zasłonięta do pasa beczką kapusty, siekała w korycie ziemniaki dla kur. Pocałowałem ją w rękę. Babka wyściskała mnie serdecznie. Pachniała suszonymi grzybami, ziarnami jałowca i lipowym kwiatem. Obtarła w fartuch ubielone otrębami ręce i weszła do komory. Na przetaku wyniosła mi stamtąd laskowe orzechy i dzikie jabłuszka. W glinianej donicy podała mi, co tylko wyjęte spod kamienia, ociekające syropem, suszone śliwki.

Siedziałem w izbie na stołeczku ustawionym koło uchylonego pieca. Z popielnika rozchodziło się glinane ciepło. Zapachniało mi suszonym skrzypem, dziurawcem i podbiałem. Babka zajmowała się leczeniem uchyniętych dzieci. Spojrzałem na powałę. W Inianych woreczkach zawieszonych u stragarza wisiały suszone zioła.

Łamałem zębami laskowe orzechy, wyluskując z nich koniuszkiem języka brunatne jądro. Połykałem śliwki, wypluwając pestki wprost w popielnik. A babka, przesuwając na palenisku sagany, wypytywała nieustannie o matkę, o ojca, o moich pożenionych z dala od domu braci. Odpowiadałem jej półgębkiem. Wierciłem się na stołku. Coraz niecierpliwiej spoglądałem w okno i na drzwi.

- Pilno ci do mojego starego? Ależ nie, synku, nigdzie nie wyjechał. Do lasu też nie polazł. Siedzi, w szopie. Garnki lepi. Od jesieni całymi dniami babrze się w glinie. Jak co roku. Ale w tym roku zdziwaczał na amen. Kiedyś wystarczały mu garnki i donice. Czasem tylko lepił dla dworu jakiś fikuśny wazon oblewany zieloną polewą. A teraz jakieś ptaszki począł wymyślać. Zabrał się nawet do lepienia świętego Rocha. Ale nie wygadaj się czasem, że wiesz o tym ode mnie. To jego sekret. Powiadam ci, synku, zdziwaczał nam do cna, starowina. Ale idź już do niego. Może prędzej wyciągniesz go na obiad.

Przez drzwiczki grodzone z wikliny i słomianych wieńców wszedłem do szopy. Z poszycia szopy było wyrwanych kilka kitek. Pod światłem, padającym z tego kitkowego okienka dużym jęczmiennym snopkiem, klęczał dziadek. Rochowi leżącemu na słomianej macie wpychał w gruzłaste ręce wypalony w glinie pług. Chrząknąłem. Dziadek spojrzął pod światło stojące za mną, osłaniając oczy nadgarstkami.

- Dobrze, żeś przyszedł. Chodźże tu. Pomóż mi uporać się z tym psiajuchą.

Powolutku podsunęliśmy Rochowi wypalany z gliny segment przedstawiający dwa ujarzmione woły i kawałek zoranego pola. Dziadek od spodu spiął całą płaskorzeźbę miedzianym drutem. Święty Roch był jak żywy.

Wstaliśmy z klęczek. Dziadek wyciągnął zza krokwi kapciuch z machorką. Z jednej z półek idących wzdłuż północnej ściany szopy zdjął dwie gliniane fajki. Podał mi jedną. Upchaliśmy fajki samosiejką. Krztusząc się machorkowym dymem, podeszliśmy do świętego Rocha.

- No nie, że akuratny? Udał mi się nad podziw. Przytaknąłem.

- Tak sobie po nocach myślałem, człowiek się starzeje, zwierciadła w domu nie ma, a w wiaderku na starość przeglądać się nie wypada. No to wymyśliłem świętego Rocha. Czemu Rocha? A bo to i święty, i z chłopów do tego. A poza tym zdaje mi się, że ociupinkę wdał się we mnie. Prawda? Widziałeś go przecie w naszym kościółku. No widzisz. To sobie powieszę mojego Rocha nad łóżkiem. Za jednym zamachem będę miał się do kogo modlić, a i wygrażać też będę miał komu. Bo przecież Roch jest podobny do mnie. Umyśliłem sobie również moją starowinę w jakąś świętą wcielić. Ale nie widzę takiej, która by akuratnie do niej pasowała. Chyba święta Kunegunda. Ta ponoć Wieliczkę odkryła, a moja do każdej strawy dosypuje mi dwie Bochnie. Stara powiada, że m zdziwaczał. Plecie baba. Po prostu znudziło mi się wieczne lepienie garnków, doniczek i fajek. A i ludzie nie szanują mojej roboty. Choćby w najładniejszy garnek, polewany zielenią dzban, wlewają byle osikowe mleko, wodę. A gdy się im zbije garnek, nawet nie spojrzą na skorupy, wyrzucając je w pokrzywy. Widzę, że spoglądasz na te ptaszki na półkach. Podobają ci się? No widzisz. Na najniższej półce są wiosenne, wyżej letnie, jeszcze wyżej jesienne, a zimowe siedzą sobie najwyżej. Ty byś je pewnie poukładał inaczej. Poczekaj, dożyjesz moich lat, będziesz myślał podobnie. Z gliny to, ale jak ćwierka! Posłuchaj.

I tu dziadek brał ptaszki z półek, przytykał je do warg i śpiewał. W szopie śpiewały mysikróliki, słowiki, drozdy, szpaki, sikorki, szczygły.

Gdy się uciszyło to różnobarwne i różnogłose drobiastwo, dziadek usiadł na zydlu. O glonek buta wystukał popiół z fajki. Zamyślił się.

- A wiesz, może ja rzeczywiście zdziwaczałem. Wydaje mi się, że bez tych glinianych stworzeń nie byłoby prawdziwie żywych ptaków.

Pocałowałem dziadka w rękę. Wstał ze stołka i z najwyższej półki podał mi gila i sikorkę.

- Dziękuję ci, synku. Ale ja tu gadu, gadu, a ty pewnie z jakimś pilnym

interesem.

Opowiedziałem o tarapatach ze strzelbą.

- Powiadasz, że nie trafia? A przedtem trafiała. Ani chybi, synku, jakiś zwierz ją urzekł. Nie musiał to być akuratnie zwierz żywy. Małoż to w polu, w lesie krąży zwierząt zabitych, dawno oskorowanych i dawno zjedzonych. A ludziom się wydaje, że jak spalili kości i na gnój wysypali popiół, proso wszystko zarośnie. Ale zwierzę zabite żyje nadal. W trawie, w drzewie, na dnie wody. A trawa, drzewo i woda też żyją. Zatrzymują w sobie wizerunek zabitego stworzenia. I zwierzę nadal żyje, tak jak żyje mój ojciec utajony w mojej pamięci, w sprzętach, których dotykał, w lesie, przez który przechodził, w wodzie, która przemywała mu twarz. A tyś, synku, pewnie nieopatrznie celował w taki wizerunek śpiącego w trawie zwierzęcia. A wiadomo, dwa razy tego samego istnienia nie zabijesz. Ale chodź do izby. Muszę obejrzeć twoją strzelbę.

Na stole dymił już obiad. Żur gotowany na zajęczym rosole. Na drugiej donicy leżał duszony w chlebowym piecu, pokrojony na części zajac. Kiedy donice po żurze i po zajacu były wytarte do czysta ośródką chleba, kości ułożone na kopczyk, okruszyny wysypane przez okienny lufcik, przyniosłem z sieni moją strzelbę.

Dziadek wziął strzelbę z moich rąk, złamał ją na kolanie i siadając na stołku tyłem do okna, spojrzął pod światło w jej lufy.

Widzi mi się, synku, że w obydwu lufach utknął szarak. Strzelałeś w lesie. Pod światło widać zarys chojara. Tuż za chojarem można dostrzec przelatującego szaraka. Dostał w samo osierdzie, bo przekopyrtnął się przez łeb. Ale nie był to, synku, zajac żywy. Strzelałeś do zajaca mieszkającego w zwierciadle chojara. Właśnie ten wizerunek szaraka urzekł ci dwururkę. Ale nie martw się. Wypłoszymy go z twojej dwururki. Matka, szykuj miód, zajęczą sierść i listek kapusty.

Dziadek posiekał drobniutko kapuściany liść. Z flaszki ucedził ociupinę miodu do glinianej donicy. Do miodu wrzucił kłaczek sierści i drobno posiekany liść kapusty. To wszystko wymieszał osikowym kołeczkiem. Po czym z szuflady wyjął śrutowy nabój. Odsypał z niego połowę prochu. Na pozostały proch nałożył tekturowy krążek. Osikowym kołeczkiem zaczął nakładać do tulejki mieszaninę miodu, drobin kapusty i zajęczej sierści. Przykrył to znowu tekturowym krążkiem. Nabój był spreparowany.

Weszliśmy w las. Ścieżką, udeptaną między chojarami przez zwierzęta, doszliśmy do kolistej polanki. Przystanęliśmy pod dębem zasypanym po palone cholewy śniegiem. Spod śniegu zaledwie wystawały kogucie pióra wysokiej paproci.

Dziadek kazał mi iść z zabraną z domu stolnicą pod najbliższy chojar. Stolnicę ustawiłem po prawej stronie chojara, mniej więcej w tym miejscu, gdzie się zatrzymał wizerunek zabitego zajaca. Wróciłem pod dąb. Podąłem dziadkowi nabitą strzelbę.

Celował spod dębu rosnącego na wprost chojara. Celował z przykłąku.

Przez tło chojara przeleciał ptak. Dziadek odjął strzelbę od ramienia. Kazał mi podejść do stolnicy i przetrzeć ją krymką. Teraz dopiero celował długo w sam środek stolnicy. Gdy przestały mu drżeć kolana, łokieć i zrogowaciałe palce, pociągnął za cyngiel. Beknął trafiony szarak. Posypała się płowa sierść.

Pobiegłem do stolnicy. Miód i zajęcza sierść ułożyły się w szaraka stojącego słupka. Z jego rozwartego pyska zwisał kapuściany liść. Dziadek stał za mną. Spojrzałem w jego twarz. Była to twarz świętego Rocha idącego za dwójką wołów przez zaorane po widnokres pole. Nad nim przelatywały ptaki. Widać było, że dopiero przed chwilą zrodziły się z grudek gliny. Ich szare pióra dopiero w locie nabierały kolorów.

- No, synku, udało się. Zdejm szaraka ze stolnicy. Biedakowi pilno do zajęczego nieba. Zdejm również listek. Niechże sobie pofrunie za szarakiem.

Przyszedliśmy do domu. Był już zmierzch. Szykowałem się do powrotnej drogi. Babka nasypała mi pełne kieszenie dzikich jabłek i laskowych orzechów. Dziadek przyniósł mi z szopy glinianego szczygła.

- To dla twojej dżierlatki. Glinianego łatwiej jej będzie utrzymać za skrzydła, mój ty szczygiełku majowy. Skąd wiemy o Magdusi? - pytasz. Od Rocha, od Rocha, bratku. Pełno ich tu po wsiach. A chodzą, a patrzą, a słuchają. To i staruszkowi coś tam z tego, co słyszeli, co widzieli, co się im przywidziało, przyśniło, rzekną.

Pożegnałem się z dziadkiem. Zarzuciłem strzelbę na ramię. Szedłem na ukos przez łąki wprost na światło migające z naszego domu.

Z wierzb rosnących nad łąkową rzeczka wyleciała sowa. Pohukiwała. Akurat myślałem o dziadku. A źle myśleć o dziadku, gdy pohukuje sowa.

Ściągnąłem strzelbę z ramienia. Wycelowałem w przesuwający się po miesięcznej pełni kłębek. Na moją głowę posypał się szron. Zapachniało saletrą. Posypały się pióra po wyiskrzanej pełni. Sowa spadła w śnieg. Pobiegłem. Podniosłem ją ze śniegu. W jej zamykających się ślepiach dojrzałem jeszcze skrawek pobliskiego lasu, skorupę pełni i moją twarz. Wyglądziłem na ptaku połamane pióra. Schowałem go pod kożuch. Spojrzałem na niebo. Wydawało mi się, że pod pełnią widzę stojącego po kolana w śniegu dziadka. Uśmiechał się. Strzelba biła celnie.

## [Spis treści](#)



## Szarak

W sadzie było coraz błękitniej. Od śniegu, od mrozu i od sędzielaku. Najchętniej zawiesiłbym słomiany kojec między jabłonkami, wyścielił go pierzyną i sypiał w nim co noc. Do kojca przyniósłbym sobie pełne zanadrze złotych renet i chrupał je do rana. Miło by też było mieć ze sobą Iniany woreczek z siemieniem, jęczmienną i jaglaną kaszą. Rzucalibyśmy po garsteczce

ten pożywny chleb na śnieg dla porannych ptaków. I uprosiłbym sikorki, gile, jemiołuszki, aby igielka po igielce, sopel po soplu pozszywały wody rzeki w lód.

Bo odkąd rzeką szedł śryz ścinający się w coraz większe kry, nie byłem u Magdusi. Mogłem tylko wychodzić na strych domu, wyciągać z północnej strzechy kilka kitek i przez to słomiane okienko wglądać sadu i domu dziewczyny. Wprawdzie kilka razy byłem nad rzeką, obrywałem zwarzone liście dzikiego bzu, spod śniegu wygrzebywałem pisaną trawę i rzucałem w wodę, myśląc przez cały czas a Magdusi, ale ani czarne kiście dzikiego bzu, ani pisana trawa nie przywołały jej na tamten brzeg stojący po kolana w śniegu.

Dlatego tak bardzo chciałem sypiać w kojcu zawieszonym między jabłonkami. Bo gdy wchodziłem w sad i spoglądałem na niebo przez drobne gałązki całe w śniegu, w sędzielaku - i gałązki, i ich cień, i przelatujące go niebie ptaki układały mi się w jej twarz, w jej przechylone plecy z zimową łasicą między łopatkami.

Cóż by to było dopiero wtedy, gdybym mógł całymi nocami przebywać pod sadem i z kojca spoglądać na niebo. Nie mogłem jednak kojca wyciągnąć z komory, wyścielić go pierzyną i zawiesić między jabłonkami. Cała wieś i tak już mnie uważała wprawdzie za bożego, ale pomyleńca.

Przeto sypiałem na glinianej nalepie chlebowego pieca. Zagrzebany w baranie skóry, od czasu do czasu, tuż przed jutrznią, wyjmowałem zza komina gliniane ptaszki podarowane mi przez dziadka i pogwizdywałem na nich. Aż do porannej jasności wydawało mi się, że jest lato, a ja siedzę w lego złotym kojcu z Magdusią obok siebie. Do naszych kolan toczą się dynie, przychodzą żuki z ziarenkiem Inu na plecach, mrówki przenoszą mszyce przez nasze wyciągnięte stopy, ciągną je do mrowiska, aby wydoić ze słodkiego mleka.

I już mnie nie straszyły te ucięte głowy z wyszarpaną tętnicą, poruszające okrągłymi ustami całymi w wąsach, pomalowane w zielone pasy. Chętnie głaskałbym je po łysinie, zaprowadziłbym je nad rzekę, dałbym się im napić pachnącej moczonymi konopiami wody. I wspinałbym się wraz z nimi na wszystkie opłotki, na owocowe drzewa, byle tylko móc razem z nimi spoglądać na przebiegającą pod sadem dziewczynę.

Nie cieszyła mnie nawet strzelba odczyniona przez dziadka z uroku. Teraz, gdybym był bogaty, zakupiłbym od barona całe dworskie pole i zasadziłbym na nim czerwoną wiklinę i rzepak. I nie ścinałbym wikliny przed zimą. Niechby zające wchodziły w nią i najadały się do syta. A gdyby pole zasypał kopny śnieg, kazałbym wyjść ludziom z łopatkami, z miotłami i uprzętać go od świtu do nocy.

Z lubością też przesiadywałem każdej nocy dłuższy czas przy oknie wychodzącym na sad. Przyglądałem się szarakom wchodzącym do naszego sadu. Obwąchiwały owocowe drzewka okutane w kłóc. Odskakiwały od nich. Drzewka posmarowane gliną zmieszaną z krowim łajnem pachniały zbyt natarczywie. Przeto szaraki podchodziły do szopy. Przez szpary między



deskami wysmykiwały żdźbła słomy i siana.

Pewnej nocy pojawił się pod sadem duży, niemalże wielkości psa, szarak. Jego sierść, przechodząca w biel, świeciła jak tłące się łuczywo. Kicał po powierzchni zmarzniętego śniegu, jakby był obuty w płytkie szewrowe półbuciki i sypał mu się do nich sypki śnieg. Powolutku, rozdzierając łapą słomiane chochoły, obwąchiwał po kolei jabłonkowe szczepy. Na dłużej zatrzymał się przy szczepie szarej renety. Stanął słupka i siekaczami zaczął ciąć słomiany chochoł. Dobrał się do kory szczepu. Nie smakowała mu jednak. Czuć ją było łajnem i gliną. Ale nie uskoczył spod szczepu jak pozostałe szaraki. Odłupywał płat po płacie korę. Wyraźnie dobierał się do miazgi, do jabłonkowego włókna. Ciął zawzięcie jabłonkowy pień, raniąc go boleśnie do samego rdzenia.

Przeraził mnie ten szarak. Wydawało mi się, że wszedł do mojego sadu, aby mściwie zniszczyć najdorodniejsze szczepy. Jego obnażone siekacze rosły w moich oczach. Nie były to już siekacze. Raczej krzemienne piły. A on je ścierał, tnąc na trociny jabłonkowy pień.

Czułem jak we mnie pada coraz gęstszy śnieg. Zasypuje mój żołądek, wątrobę, osierdzie. Pobiegłem do komory. Zdjąłem z bronnego gwoźdźcia strzelbę. Wbiegłem do izby. Spojrzałem w sad. Szarak dobierał się już do jabłonkowego rdzenia. Włochatymi wargami wysysał z niego ścięty w smoliste grudki sok. Ostrożnie rozwarłem okno. Odciągnąłem kurek strzelby. Ale zanim podniosłem ją do ramienia, szarak przestał chleptać z jabłonkowego rdzenia. Wsparty przednimi łapami o pień, oblizywał wargi, nasłuchując. Był większy, niż myślałem. Przypominał przebranego w zajęczą skórę parobka.

Mógł przyjść pod nasz sad, wracając po pijanemu z jakiegoś wesela czy jarmarku, gdzie kuglarskimi sztuczkami zabawiał rozochoconych gorzałką ludzi. I rzeczywiście, wydawało mi się, że z jego łba nie wywietrzał jeszcze rum. Przeto wszedł pod nasz sad, myśląc, że to piwnica pełna glinianych garnków z osikowym mlekiem. Na pewno też pomylił zimowy sad z wiosennym. Ale nie znalazłszy piwnicy z osikowym mlekiem ani wiosennego sadu z dojrzewającymi wiśniami, począł się dobierać do jabłonkowego rdzenia i pić sok przypominający w smaku zsiadłe mleko.

Było mi wszystko jedno, czy ten szarak to jarmarczny kuglarz, wójt czy biskup. Wycelowałem. Szarak spojrzał we mnie. Uskoczył w bok. Strzeliłem. Z gałązek sypał się śnieg. Odezwały się psy. Szarak przekopyrtnął się przez łeb i zniknął za maliniakiem. Wyskoczyłem przez okno. Pobiegłem w sad. Za maliniakiem nie dojrzałem szaraka. Spojrzałem na błonie wchodzące pod wierzbowy zagajnik. Świeciło tam próchno. W jego migotliwym świetle zobaczyłem kicającego szaraka. Był jeszcze większy niż pod sadem. Przypominał wilka, niedźwiedzia, jaszczura zrobionego z jęczmiennych snopków.

Nie dowierzałem oczom. Na szczęście od dziecka wiedziałem, że istoty widziane w świetle próchniejących wierzb rosną jak na drożdżach.

Uspokojony wróciłem pod sad. Obejrzałem jabłonkowy szczep. Był skaleczony do samego rdzenia. Natężony mróz szczypał mnie w koniuszki uszu. Wyływający z jabłonkowego szczepu sok ścinał się w sopol. Pobieglem do stajni. Zranioną jabłonkę zalepiłem łajnem. Postanowiłem, że następnej nocy szarak mi nie ujdzie.

Z nocnej przygody z szarakiem zwierzyłem się matce. Wystraszyła się. Nie chciała mi pozwolić polować na niego.

- A może to czarownik przebrany w zajęczą skórę. Jeszcze cię porani. Roześmiałem się. Ucałowałem matkę w strwożone oczy.

Po obiedzie zacząłem się przygotowywać do nocnego polowania. Strzelbę wyczyściłem pakułami. Jej zamek natarłem miętusim sadłem. Wybrałem się do sadu. Tuż za owocowymi drzewami rosła duża olszynowa kępa. Postanowiłem ukryć się w niej. Stąd mogłem strzelać swobodniej niż z uchylonego okna. Gdy zapadł zmierzch, ubrany w kozuch, w buty z cholewami, wszedłem do olszynowej kępy. Zaszyłem się w jej śniegowe futro. Strzelba miała nabite obydwie lufy. Czekałem oparty o olszynowy pień. Strzelbę wsparłem na widełkawatej gałązce. Była tuż pod moją ręką.

Gdy się uciszyły psy wchodząc do wymoszczonych słomą zbitych z tarcic bud, a w całej wsi pogasły naftowe, olejne i łojowe światła, z błonia zaczęły nadciągać szaraki. Z olszynowej kępy było je widać wyraźnie. Miały podbite światłem padającym od śniegu płowe podbrzusza. Przez ich wąsy przelatywały iskry. Podchodząc do sadu, biegły półkolem wzdłuż jego pierścienia, obwąchując dokładnie psie i ludzkie tropy. Dopiero wtedy wchodziły w sad. Ale ani jeden nie podszedł do jabłonkowego szczepu. Wszystkie kicały wprost pod szopę, skąd wysmykiwały siano i słomę.

W sadzie iskrzyło się coraz bardziej. Okoliczne płoty trzeszczały na mrozie, jakby uciekały z krwawego wesela. Przez kozuch przenikał chłód. Już sądziłem, że tej nocy nie zjawi się szarak. Spoglądałem na błonia aż po jaśniejące od próchna wierzby. Moje brwi i rzęsy były w sędzielaku. Wydawało mi się, że spoglądałem przez gniazdo krawczyka. Przez to gniazdo spoglądałem na niebo zagrodzone jabłonkowymi gałązkami. Przez gałązki, tuż nad widnokresem, jaśniała wieczorna gwiazda. Pod gwiazdą dostrzegłem mknące sanie zaprzężone w siwki umajone weselnie gałązkami jedliny.

W tych saniach siedziała moja dziewczyna. Obok niej, obejmując ją ramieniem, jechał dziedzicowy syn. A nad saniami widziałem jej matkę jadącą na gąsiorze. Z gąsiora sypały się pióra, spadały na Magdę, na dziedzicowego syna. A wdowa zniżała się tuż nad sanie, pokrzykiwała radośnie, przesiewając przetakiem złoty piasek na sanie, na las, na dolinę. A jeszcze później już nic nie widziałem. Przymknąłem oczy. Zasypiałem wtulony w kozuch, zasypywany zaczynającym prószyć śniegiem, wciśnięty w białą pierzynę olszyny.

Obudził mnie wchodzący na dach naszego domu ogromny sierp miesiąca. Śnieg przestał prószyć. Było cichutko. Tylko w duckach drzew przesypywało się, mieląc, wigilijne ziarno.

Spojrzałem pod sad. Pod antonówkowym szczepem stał słupka mój szarak. Widocznie spałem dosyć długo, skora szarak zdążył już ściąć słomiany chochoł i korę z pnia. Spod jego siekaczy sypały się już antonówkowe trociny. Wyciągnąłem lewą rękę po strzelbę. Szarak niespokojnie strzygł uszami. Ale strzelbę miałem już w ręku. Czekałem, aż się szarak uspokoi.

Po chwili rzeczywiście zabrał się z powrotem do antonówki. Przerzuciłem strzelbę do prawej ręki. Szarak znów przestał ciąć szczep. Czekałem znieruchomiały. Do metalu dubeltówki przymarzały mi palce. Z palców chłód spływał w łokcie, pod pachy, rozchodził się po pierścieniach żeber. Kiedy metal wypełniał mój brzuch, szarak na powrót zabrał się do szczepu. Podniosłem strzelbę do ramienia. Odwiodłem kurek. Szarak uskoczył w bok. Stał na śniegu nasłuchując. Myślałem, że również tej nocy mi ujdzie. Nie mogłem przecież strzelać na oślep. Szarak był zbyt daleko ode mnie. Poza tym nów przesunął się po kalenicy domu i wbił swój sierp w wiązanie facjatu. Jego ogromne światło pomniejszało odległość między mną a szarakiem. Gdybym strzelił bez obliczenia, mógłbym chybić. Czekałem z dubeltówką przy ramieniu.

Ale szarak był już niespokojny. Co chwilę uskakiwał i strzygł słuchami.

Wreszcie, spojrzał w olszynowy zagajnik. Chłód, który mi już spływał w jabłka kolan, ustąpił nagle. Moje wnętrze poczęła wypełniać sierpniowa żywica. Szarak był podobny do świętego Jerzego ze dworu. Ta sama głowa w ściągniętym na bakier kaszkiecie, te same szwabskie wąsiki.

- No, bratku, teraz mi nie ujdiesz. Mało ci było Szeli, zachciało ci się śrutu. Będiesz go miał do syta.

Ale szarak był niespokojny. Nie podchodził już do antonówki. Ciągłe spoglądał w olszynę.

Nagle u sąsiada skrzypnęły drzwiczki u stodoły. Szarak drgnął zwracając łeb w tamtą stronę. Pociągnąłem za cyngiel. Szarak się przekopyrtnął i został na śniegu.

Rzuciłem strzelbę w olszynę. Pobiegłem w sad. Gdy dobiegałem do szaraka, powiększały się jego ślepie. Był w nich już cały sad z nowiem wbitym w starą papierówkę. Wpatrzony w jego ślepie, dostrzegłem na ich złotym dnie swoją twarz. Ujęta w barankowy kołnierz zasypyany śniegiem przypominała drapieżnego ptaka spadającego w przekwitające żyto. Dopiero teraz spostrzegłem, że szarak jest cały siwiutki. Rozwarłem jego pysk. W szczękach chwiały się siekacze, jakby ułupane z żółtego piaskowca. Zachodziły na siebie.

- Mój Boże, to był staruszek. Podobny do panicza ze dworu. Ale nie po śmierci.

[Spis treści](#)



## Kolęda

Po Wigilii dom nasz pachniał sianem, jedliną i snopkami zboża. Pod wigilijnym drzewkiem leżał list od ojca. Pod listem był opłatek. List kolędował przez kilka tygodni, zanim trafił do nas na wigilijny wieczór. Przeto w domu było odświętnie. Prawie tak, jakby ojciec przyjechał do nas w odwiedzinach. W czasie wieczerzy list leżał obok donicy, z której od lat spożywaliśmy wspólnie paluszki z makiem. Po wieczerzy matka postanowiła, że list od ojca aż do Trzech Króli będzie leżał na sianie pod jedlinowym drzewkiem obwieszonym jabłkami i łańcuchami z kolorowej bibuły i ciętej w dudki słomy. Jak powiadała, póki nie przejdzie zapachem zimowego lasu, siana, jabłek i pszennych placków.

Od chwili przyjścia listu matka dłużej przesiadywała przy oknie, rozczesując rogowym grzebieniem rozplecione z warkocza włosy. Ze skrzyni, malowanej w koguty siedzące na wiklinowym płacie, wyjęła kilka sznurów prawdziwych koralów i wełnianą szalówkę. Z komory przyniosła czerwone trzewiki. Ubrała się w to wszystko i, niby to zdejmując gliniane garnki z szafki, spoglądała w stojące obok wiaderko z wodą. Widocznie spodobała się sobie, bo odkładając garnki, podeszła na środek izby, ujęła się pod boki, wysunęła spod spódnic lewą stopę obutą w czerwony trzewik i uśmiechnęła się zalotnie. Zawsze się tak uśmiechała, kiedy do niej podchodził ojciec ubrany w krymkę, w kozuch i w buty z cholewami. Brał ją na ręce. Wynosił na ganek. Przed gankiem stały już zaprzężone sanie. Ojciec sadzał matkę na siedzisku wymoszczonym derką. Przytuleni do siebie odjeżdżali na jarmark, na wesele, na chrzciny. Zostawałem wtedy sam w domu. Siadywałem na malowanej skrzyni stojącej pod ścianą z oknem wychodzącym na błonie. Spoglądałem za odjeżdżającymi rodzicami. Jechali przez błonie zasypane śniegiem po czarne łby wierzb.

Podobał mi się ojciec. Jego siła, zręczność, jego wysoki wzrost. Chciałbym kiedyś, podobnie jak on, nosić z taką łatwością na rękach swoją dziewczynę. Sadzić ją w saniach i odjeżdżać z nią przez zaśnieżone błonia w plecionym z malowanej wikliny wasążku.

Byłem dorosły. Gryczany puch na moich policzkach ustąpił miejsca jęczmiennemu ściernisku. Jeśli jeszcze rok temu niesione przeze mnie wiadra wody obijały się o moje kolana, wychlapując się za cholewy butów, teraz mogłem je bez wysiłku nieść na wysokości bioder. I nie musiałem ich trzymać w pełnej garści. Wystarczyły mi wskazujący i środkowy palec. Wydawało mi się, że mogę podejść do węgła domu i podnieść go jedną ręką. A drugą mógłbym z łatwością chwycić za kark paniczyka ze dworu, przygiąć go do ziemi i wsunąć pod przycieś wyloty jego surduta. I opuścić na te wyloty cały dom. I tak zostawiłbym go, przytrzaśniętego naszym domem. Nigdy jeszcze naszego domostwa nie strzegł tak delikatny brytan.

Od dłuższego czasu nie mogłem zaglądać do dziewczyny. Początkowo

rzeką szedł sryz ścinający się w krę. Później wprawdzie kra stanęła na całej rzece, ale jeszcze nie zrosła się wystarczająco grubym lodem. Przeto całymi dniami przesiadywałem przy oknie. U widnokresu stała wiklina spleciona w ogromny kosz, do którego sypał się śnieg. Gdy była zadymka, kosz podskakiwał. Wylatywały z niego gronostaje, łasice, skrzydlate konie. Przelatywały przez całe niebo, siwe od ich ukąszeń i podków.

Gdy zadymka się uciszała, wychodziłem nad rzekę. Wchodziłem na lód. Trzeszczał. Pękał pode mną w zieloną gwiazdę. Ale przez jego szkło zauważyłem, że ryby zagrzebują się w żwirze. A wiedziałem, że ryby idą zawsze w żwir, gdy się odmienia na silniejszy mróz. Jakoż po paru dniach, gdy wszedłem na zamarznąłą rzekę, pod moimi stopami lód dźwięczał jak dobrze wypalona glina. Od tego czasu prawie codziennie, tuż przed zmierzchem, przychodziłem do Magdusi.

Tej zimy w domku wdowy było wesoło. Co wieczór przychodziły sąsiadki drzeć pierze i praść len. Przychodzili również chłopcy. Grali na harmonii. Śpiewali. Zbliżał się wyskubek. A z tej okazji szykowała się potańcówka. Postanowiłem zrobić Magdusi niespodziankę. Zresztą od wielu tygodni już ją szykowałem.

Skrzyknąłem rówieśników z mojej wsi. Tych samych co ubiegłego roku. Przygotowywaliśmy się do turoniowej kolędy. Na Nowy Rok prawie wszystko było przygotowane. Nie mieliśmy tylko muzykantów. Wprawdzie w naszej wsi było ich sporo, ale wszyscy byli zajęci. Mieli grać na coraz częstszych o tej porze weselach i chrzcinach. Muzykantów musieliśmy szukać w drugiej wsi. Po wielu zachodach udało się nam zwerbować skrzypka i dudziarza.

Wieczorem, tuż po Nowym Roku, szliśmy przez zasypane śniegiem pola. Pochód kolędowy prowadziłem ja, przebrany za turonia. Odziany w barani kożuch, z drewnianym łbem przerzuconym przez plecy, brnąłem przez śnieg sięgający mi do bioder. Za mną szli pastuszkowie z gwiazdą, z dębowymi kijami obwieszanymi dzwoneczkami. Gdy tylko weszliśmy w wiklinę, muzykanci zaczęli grać. Do wrzasku dudy dołączała się każda wiklinowa witka. Po chwili cała wiklina, osypując się ze śniegu, grała na fletach i piszczałkach. Pod tą muzyką, pod tą gwiazdą przebłyskującą przez wiklinę, weszliśmy na zamarznąłą rzekę. Wdziałem turoniowy łeb. Muzykanci zagrali oberka. Pastuszkowie zastukali o lód kijami w dzwoneczkach. Tańczyłem. Tańczyli pastuszkowie na omiecionym ze śniegu lodzie.

Począwszy od rzeki kolędowaliśmy do tej obcoplemiennej wsi widocznej pod wieczorną gwiazdą, pod pełnią miesiąca wschodzącego na zaśnieżone kalenice. Gdy wchodziliśmy w sady, z obór zapachniało siarą. Słysząc było bek nowo narodzonych jagniąt, rzenie źrebiąt i muczenie cieląt. Uciszyły się skrzypce. Zamilkła duda. Odrzuciłem na plecy turoniową głowę. Pastuszkowie w kożuszanych rękawicach pochowali dzwoneczki. Wchodziliśmy pod wieczorną gwiazdę.

Zaszczekały psy. Zapachniało sianem i jedliną. Szliśmy z kolędą, z turoniem wypłoszonym przez wilki z zimowego leża. Nad nami była gwiazda.

Tańczyłem pod wigilijnymi drzewkami, pod pajakami z opłatków, ździebeł słomy i kolorowych bibułek. Pastuszkowie sprzedawali mnie gospodarzom. Wchodziłem do komór. Z sąsiedków wyciągałem zagrzebane w ziarnie jabłka. Z żerdeń zrywałem pęta kiełbas. A później wchodziłem do obór. Przecierałem nowo narodzonym jagniętom, źrebiętom, kózkom i cielakom oślepte źrenice, maczając ośrodkę chleba w ciepłej serwatce. Zwierzęta lizały mnie po rękach, po włochatym pysku. Szeptaliśmy im w uszy kolędy całe w sianie, w zbożu, w przepiórkach. Dziękowały mi mrucząc w moje uszy zwierzęce kantyczki okutane w wełnę, ociekające mlekiem i miodem.

Dziewczętom uciekającym przede mną do sieni, wskakującym na łóżka w wysokich pierzynach, wciskałem do rąk czerwone jabłuszka. A gdy wychodziłem na pole, pod drzewa, pad sady ogrodzone opłatkami, wydawało mi się, że mój drewniany łeb niosę tuż pod wieczorną gwiazdą, że stąпам po Mlecznej Drodze całej w koleinach Wielkiego Wozu.

I z wysoka widziałem, jak moi pobratymcy, wylegujący się w zagajnikach zasupłanych jałowcem, leszczyną, dzkimi konopiami, podnoszą na niebiosa kudłate pyski, pobekują. Sypałem im z wysokości żołądziej, laskowe orzechy, dzikie jabłuszka. A one podnosiły łapy nad zagajniki i głąskały mnie po baranim grzbiecie.

Obładowani jabłkami, kiełbasą, kawałkami suszonego sera, pszennymi plackami, weszliśmy pod sad wdowy. Zagrały skrzypce. Odezwała się duda. Pastuszkowie z gwiazdą, z kijami w dzwoneczkach weszli do sieni. Wciągnąłem turoniowy łeb. Wszedłem za nimi. Stałem w sieni w baranim kożuchu, w słomianych powrósłach, w konopnych sznurach przywiązanych do mojego łba. Przez moje turoniowe serce przebiegały mrówki. Przelatywały pszczoły. Za mrówkami szedł żuk w opończy obcoplemiennego jeźdźca.

Rozwarły się drzwi. Przez rozchylony drewniany pysk poraziło mnie światło dwóch naftowych lamp zawieszonych u stragarza. Wsparłem się nogami w klepisko sieni. Potrząsałem łbem. Podskakiwałem. Z kieszeni kożucha zaczęły mi się sypać jabłka. Jedno z nich potoczyło się pod stopy Magdusi.

Muzykanci zagrali polkę. Skakałem w jej takt. Upadałem na kolana. Walilem się na ziemię. Poszturchiwano mnie kijami, popychano. Zrywałem się na cztery nogi. Beczałem. Skakałem przez stół, wlażyłem pod łóżka. Poszturchiwane dziewczęta piszczały coraz głośniej. W ręce kobiet wkładałem swój drewniany łeb. Odpychały mnie od siebie. Podszedłem do wdowy. Pastuszkowie sprzedali mnie wdowie za wiązkę siana.

Podskoczyłem do Magdusi. Odpychała mnie od siebie. Uciekała przede mną. Wtedy zapomniałem, że jestem turoniem, że wyszedłem z lasu. Odrzuciłem drewniany łeb. Wrzasnąłem:

- To ja!

Kobiety zaklaskały w ręce. Zaczęły chichotać. Ale Magdusia podbiegła do mnie, wzięła mnie za ręce i posadziła obok siebie przy piecu.

Muzykanci i pastuszkowie, umówieni ze mną, zagrali, zaśpiewali o rucie.

Odstawiono do kąta stół. Do komory powynoszono przetaki z pierzem i kołowrotki. Zaczynał się wyskubek.

Dom huczał od muzyki, od śpiewu, od przytupywań. Pod okna schodzili się ludzie. Było ich już pełno pod sadem. Tańczyłem z Magdusią. Mieszało mi się w głowie. Szeptalem jej weselne przyśpiewki i turoniowe kolędy. Całowałem ją po włosach, w oczy, w usta. Z kieszeni kożucha wyciągnąłem kupiony na jarmarku pierścionek. Wrzuciłem go jej za stanik. Dziewczyna odepchnęła mnie od siebie. Podbiegła do matki. Coś długo szeptały ze sobą. Wreszcie wdowa podeszła do mnie i pocałowała mnie w czoło. I znowu tańczyłem z Magdusią. Śpiewałem, jakbym szedł przez wiosenny las cały w kukułkach, w wiwilgach.

## [Spis treści](#)



## List

Od tej pory koniczyna pachniała mi weselnie. Wysmykiwałem ją naręczami ze stodoły. Jej zasuszone główki sączyły jeszcze miód i mleko. Naręcza koniczyny wrzucałem koniom za drabinki. Również codziennie dosypywałem im do sieczeni miarkę owsa, kilka kaczanów kukurydzy i parę garści usiekanych buraków. Chciałem, aby do wiosny sierść moich koni nabrała połysku. Na wiosnę miało być nasze wesele.

Gdy ze stodoły wysmykiwałem koniczynę, wydawało mi się, że za chwilę dokopię się do ukrytych w jej wnętrzu muzykantów. Wystarczyło, że z koniczyny wytoczyło się zagubione jabłko, a już nasłuchiwałem chrapania basisty i skrzypka. Byłem przekonany, że muzykanci przychodzą na wesela, wygrzebując się spod suszonej koniczyny. Ale w koniczynie nie odzywał się nawet świerszcz.

W stajni podchodziłem do jednorocznego źrebaka i drapiąc go między uszami, szeptałem:

- A wiesz ty, obwiesiu, że się żenię? Nie potrząsaj łbem. Skąd byś miał wiedzieć? Szkrab z ciebie przecież. Mleko ci jeszcze pachnie.

O tym samym rozmawiałem z psem. Merdał ogonem, liżąc moje ręce. Po pewnym czasie prawie każde stworzenie w naszym domu wiedziało o mojej żeniączce.

Jedynie matka o niczym nie wiedziała. Wielokrotnie podchodziłem do niej, aby jej powiedzieć o moim zamiarze. Ale patrząc w jej twarz, przechodziłem obok niej do sieni, do komory, do sąsiedniej izby. Matka znowu oczekiwała listu od ojca. Od Wigilii aż do tej pory ojciec się nie odzywał. Matka widocznie widziała już ów list w powiatowym miasteczku, a może nawet w Krakowie. Nie chciałem jej zaskoczyć w tak odległym i odświętnym miejscu. Razem z nią czekałem na list. Coraz częściej też

siadywałem z nią przy oknie. Za lasem poganiałem pocztowe konie w trąbkach, w płatach potu i śniegu.

Dopiero w marcu przyszedł do nas listonosz. Z radości poczęstowałem go przysłanym nam przez ojca sztagankiem rumu. Matka niecierpliwie rozrywała kopertę. Nic się nie stało. Ojciec był zdrów. Przeniósł się tylko z żelaznej fabryki do rzeźni. Miał teraz lżejszą pracę. Więcej zarabiał. Obiecywał, że pod jesień przyjedzie do nas.

I znów matka ubrała się w korale, w odświętną szalówkę, w czerwone trzewiki. Siedziała przy oknie. Cerowała, przedła Inianą kądziel. Śpiewała. Podeszedłem do niej. Pogłaskałem ją po głowie. Przytuliła się do mnie.

- Mamo.

- A nie mówiłam, że ojciec przyjedzie. Tak się bałam, że mu się coś złego stało. Prawie każdej nocy śnił mi się toczący się z dworskiego wzgórza drabiniasty wóz z przypawężonym sianem. Na sianie jechał ojciec. Siano zaczęło nagle płonąć od tyłu wozu. A wóz ze wzgórza zjeżdżał wprost na naszą oborę. Ojciec chciał zeskoczyć z płonącej fury, ale nogą zawadził o pawęż. Upadł w płonące siano. Krzyczał. Do tej pory słyszę jeszcze jego krzyk. Konie, ponosząc wóz, rżały przerażone. Wtedy się obudziłam. A teraz wiem, że to był dobry sen. Ojcu spieszno do nas, do domu.

- Mamo.

- Widzisz, synku, jak ojciec przyjedzie, kupimy to pole za starym młynem. Tyś już taki duży. Pewnie już za pannami zerkasz! Nie, nie wymawiaj się. Widziałam cię pod kościołem. Oczy ci na wierzch wyłaziły. To jak kupimy to pole za młynem, my z ojcem zostaniemy na starych śmieciach, a tobie wystawimy dom murowany, kryty eternitem. I pannę ci wyszukamy, jak się patrzy.

- Dziękuję ci, mamo. Jakaś ty dobra. Ale ja nie chcę panny. Ja już mam upatrzoną od dawna. Mieszka w tamtej wsi za rzeką. Jak chcesz, to ją przywiozę do nas w niedzielę. Zobaczysz, że ci się spodoba. Jest taka inna od wszystkich. Mówię ci, mamo, zupełnie inna.

- Z tamtej wsi, powiadasz. Ale tam jeszcze nikt się od nas nie ożenił. To obce plemię. Dzikie. Na wesela stamtąd przychodzą z nożami. Po jarmarkach biją się na gnypy. Siekierami się zarabują o byle co. Nie chodź tam. Jeszcze cię pokaleczą. Mogą cię nawet zabić.

- Też gadasz. Zabić. Chodzę tam już od roku i nic mi się nie stało. Znam się ze wszystkimi chłopakami z tamtej strony. Palcem mnie nie tkną. Wiedzą, że to moja dziewczyna. Spróbowaliby zresztą. Do wody bym ich powrzucał. Spaliłbym ich do korzenia.

- Dzikus z ciebie. Taki sam jak ojciec. Pamiętam, jak się o mnie bił w karczmie z synem organisty. Powiadam ci. Siedzimy sobie z ojcem przy stole i popijamy jabłecznik, a tu w drzwiach, z różdką uniesioną nad głową, obwieszoną jabłkami i jedwabnymi wstążkami, staje organiściak. Był za starszego drużbę u sołtysówny. Spostrzegł nas przy stole. Odepchnął od siebie drużbę, różdkę wepchnął w ręce weselnemu staroście, i do ojca.



Zdrętwiałam. A ojciec nic. Wstał z ławki, położył mi lewą rękę na ramieniu, a prawą chwycił spadającą pięść organiściaka. A później chwycił go za sukienny kołnierz i uniósł pod powałę. Organiściak miotał się, wierzgał nogami obutymi w lakierki, ale ojciec trzymał mocno. Ojciec krzyknął, ludzie się rozstąpili. A on, idąc między ludźmi zbitymi ciasno koło ścian, niósł wysoko nad sobą nieszczęsnego organiściaka. Wyszedł z nim przed karczmę. Rozglądał się wokół siebie. Widocznie obmyślał jakiś psikus. Nagle, trzymając ciągle nad sobą organiściaka, zaczął chichotać. Również i mnie ogarnął śmiech. Śmiali się zresztą wszyscy zebrani przed karczmą. Przed karczmą, jak wiesz, jest głęboki staw. W tym roku wyschnięty niemal do piaszczystego dna, ale wówczas głęboki po szyję. Pławiło się w nim konie, moczyło konopie. Ojciec, ciągle unosząc nad sobą organiściaka, zbliżał się do stawu. Brzeg stawu jest urwisty. Ojciec stanął nad stawem. Podniósł organiściaka jeszcze wyżej i z całej siły wrzucił go do wody. Krzyczał przy tym: "Płyn, boża piszczalko, płyn, bo bić się nie umiesz". A organiściak, w czarnym surducie, w białej koszuli, pod krawatką, jednym słowem, wysztafirowany jak panicz ze dworu, wylaził już z wody i nie mógł wyleźć. Lakierki mu ugrzęzły w szlamie. Co wyciągnął jedną nogę w lakierku, drugiej ani rusz nie mógł do pierwszej dołączyć. Mówię ci, takiego jarmarku, jak żyją, nie mieli ludziska.

I matka rozgadała się na dobre. Kończyła opowiadać o organiściaku, zaczynała o młynarzu. Ale jej nie przerywałem. Nie chciałem jej urazić.

- A tyś taki sam. Kropla w kroplę. I podobnyś do starego. Ale ja byłem z naszej wsi. A ciebie poniosło do tych Tatarów. Ale przecież nie byłeś jeszcze u niej ze swatami?

- A jakże. Tuż po Nowym Roku.

- Rany boskie! Widziane to rzeczy. Matka, ojciec, bracia na oczy dziewczki nie widzieli, a ten prawie się ożenił. Nie mówię już o tym, że nikt z nas nie wie, jakie wiano dadzą twojej dzierlatce. Nie ma co, kawalerze. Przyjedzie ojciec, pogadasz z nim. Bez zezwolenia ojca ani mi się waży myśleć o żeniacze.

Pociemniało mi w oczach. Z koniczyny wywietrzał weselny zapach miodu. Nie było też już pad koniczyną śpiących muzykantów. Wydawało mi się, że jak przyjdę do stodoły, spod koniczyny wygrzebię odpustowych kulasów. Jesień. Przyjazd ojca w jesieni. Do tego czasu może ktoś przyjść do tej obcoplemiennej wsi, związać ją sznurem, zarzucić sobie na plecy jak wiązkę siana i zabrać ze sobą do powiatowego miasteczka, do Krakowa, za Dunaj. Ale wiedziałem, że matka nie ustąpi. Spojrzałem w jej oczy. Zobaczyłem na ich mirtowym dnie młodziutkiego ojca w weselnym surducie, znoszącego matkę z bryczki, stawiającego ją ostrożnie na wysokim ganku. Matka wysoko nad głową ojca trzymała różdkę całą w jabłkach i jedwabnych wstążkach.

Pocałowałem matkę w łokieć. Wybiegłem pod sad. W koronach drzew gwizdały szpaki. Spod okapu szopy zbierałem resztki rozmokłego śniegu, lepiałem z niego kule i rzucałem nimi w szpaki. W sadzie się uciszyło. Ale na tarcicowej budzie wiercił się nasz pies, Pasek. Merdał ogonem. Szczekał.

Rzuciłem w niego zgniłym jabłkiem, straconym przez szpaki. Pies skomląc zniknął w budzie. Rozglądałem się dookoła. W pobliżu nie było, niestety, ani kota, ani koguta paradującego po wiklinowym płocie. Nawet z dachu uleciały moje siodłate gołębie.

Rozzłościło mnie to jeszcze bardziej. Rozrywałem słomiane chochoły na jabłonkowych szczepach. Targałem na sieczkę przegniłą kłóc. Rozrzucałem ją pod sadem. Wreszcie, gdy sad wyglądał jak ogromny żłób oczekujący stada koni, zasapałem się. Byłem cały mokry. Ucieszyło mnie to. Poszedłem pod szopę i siadłem na topniejącym śniegu. Chciałem zachorować. Umrzeć. I już wyobrażałem sobie, że leżę w łóżku nakryty pierzyną, a do mnie przychodzą matka, bracia, rówieśnicy. Znoszą mi jabłka, miód w plastrach. Matka szykuje mi nawet, na emaliowanej misce z trzema bławatkami na dnie, duszonego gołąbka. A ja nic. Jabłka każę sobie wsypać pod zagłówek, miód położyć koło siebie na ławce, a na duszonego gołąbka nawet nie spojrzę. A gdy wszyscy zaczynają płakać, każę braciom przyprowadzić ze stajni mojego kasztanka z białą gwiazdą na czole. Soli każę sobie nasypać na obydwie dłonie.

Podsuwam sól pod włochate wargi kasztanka. A kasztanek wybiera sól po ziarenku, unosząc nad żółtymi zębami włochate wargi. I liże moje ręce do bieli. A gdy przestaje lizać, wszyscy już wiedzą, że odjechałem na nim do tej obcoplemiennej wsi, gdzie mieszka moja dziewczyna z łasicą przebiegającą nieustannie po jej pochylonych plecach.

I czułem, jak od pośladków wzdłuż kręgosłupa przenika mnie ziąb. Drgnąłem. Uniosłem głowę ze splecionych rąk opartych o kolana. Spojrzałem na niebo przez drobne gałązki. Oprawiona w nie stała wieczorna gwiazda. Przetarłem oczy. Wydawało mi się, że wokół gwiazdy jest zakreślone kredą koło. Poza tym kołem stali moi rówieśnicy ubrani w wojskowe uniformy. Z pochew wyciągali bagnety, osadzali je na karabinach. Biegli. Wbijali bagnety w gwiazdę. Gwiazda czerniała coraz bardziej. I nie była to już gwiazda, lecz przesuwająca się po niebie tyraliera złożona z tych obcoplemiennych chłopców ubranych w żołnierskie mundury.

Chłopcy padali za kredowe koło. Na niebie, tuż nad horyzontem, zjawiała się druga gwiazda. Również ona była wykreślona w kredowe koło. Moi rówieśnicy już biegli w jej stronę. Wbijali w nią bagnety. Gwiazda czerniała, rozrastając się w tyralierę. Gdy zabłysła trzecia gwiazda, wyjechała spoza niej konnica. Galopowała sformowana w półkole. Wiódł ją ten sam jeździec, który ubiegłej jesieni podał mi drewniany łuk. Nad nim błękitniała szabla. Na widnokres bryzgał pacynami tratowany fiolet. Konnica wjeżdżała w kredowe koło. W gwiazdę. Jeźdźcy unieśli się w siodłach. Wzdłuż końskich grzyw opadały szable. Posypał się złoty piach, kredowy pył, koński kwik i zeschnięte liście. To na sad opadło zapóźnione stado wron.

Krzyczałem. Rzuciałem w nie kulami zmarzniętego śniegu. Wrony odleciały. Nad sadem stała wieczorna gwiazda w żółtej zieleni. Ach, to spod tej gwiazdy co roku schodziły zielone łąki, pierwsze listki osypywały się na brzozy.

Zacząłem zbierać rozrzuconą pod sadem słomę. Znosiłem ją naręczami pod szopę. Na budzie wiercił się pies. Szczekał. Podeszedłem do niego i przez grodzony płot pogłaskałem go po trójkątnym łbie. Spojrzał na mnie. W jego ślepiach zieleniły się kalinowe listki.

W kwietniu, między tymi zielonymi listkami sypiącymi się z wieczornej gwiazdy, przyjechała do nas Magdusia i wdowa. Przywiozłem je wypożyczoną u sąsiada bryczką. Magdusia i wdowa były ubrane odświętnie, niemalże weselnie. Również i ja z tej okazji miałem na sobie sukieny garnitur po ojcu. Gdy przewoziliśmy się promem przez rzekę, przewoźnicy, widząc na koniach wypolerowaną popiołem każdą blaszkę uprzęży, witali nas jak młodą parę. Przyjmowałem ich życzenia zaczerwieniony po uszy. Częstośowałem ich machorką. Gdy wyjeżdżaliśmy z promu, przewoźnicy śpiewali o rucianym wianku.

Na ganku stała matka. Wyskoczyłem z bryczuszki. Pomogłem zejść wdowie i Magdusi. Matka podeszła do nas. Ucałowały się z wdową. Magdusia pocałowała mamę w rękę. Po chwili, śmiejąc się, odchodziły w trójkę przez ogródek do domu. Trzymając krótko za lejce rozgrzane konie, widziałem, jak moja matka zostaje o jeden krok w tyle. Uśmiechnąłem się. A jednak nie zapomniała, co jej opowiadałem o łasicy przebiegającej po plecach dziewczyny. Gdy wchodziły na ganek, mama zwróciła się na moment do mnie i kiwnęła głową. Z radości ucałowałem konie w nozdrza.

Siedzieliśmy do późnej nocy w gościnnej izbie. Uradziliśmy, że na zapowiedzi damy, gdy przyjedzie ojciec. Chciałem wprawdzie, aby na zapowiedzi dać tuż przed przyjazdem ojca, ale nie zgodziła się na to wdowa. Chciała, żeby mój ojciec ucałował jej córkę, zanim ją przyjmie za synową. Zbliżała się pora odjazdu. Matka wyciągnęła ze skrzyni trzy sznury koralu i podarowała je Magdusi:

- To dla ciebie, córko. Sznur największy - twój Pawełek. Sznur środkowy - tyżeś sama. Sznur najmniejszy synek wasz.

Odjeżdżaliśmy przez wieś białą od kwitnących drzew. Wydawało mi się że między drzewami ci chwilę zapalają się oliwne kaganki, że ktoś nachyla się nad nimi i mówi: "synek wasz". Na drogę z podrastających zbóż wybiegały przepiórki. Uciekały spłoszone. Na konie, na drogę, na zboża sypały się ich pióra. Będzie spał na tych piórach synek nasz. Gdy przejeżdżaliśmy promem, z rzeki wyskakiwały ryby. Ach, będzie mówił: "mama, tata" - rybeńka nasza, synek nasz. I przytulałem coraz mocniej siedzącą obok mnie Magdusię.

Następnego dnia napisałem do ojca. Właściwie zapisywałem jedynie to, co mi dyktowała matka. Wprawdzie chciałem napisać sam, ale szybko się zorientowałem, że co drugie słowo w liście ma na imię Magdusia.

Po wysłaniu listu do ojca uspokoilem się zupełnie. Przestałem o byle co targać za uszy psa, pociągać za ogon kota, rzucać kamieniami w siadające na drzewach ptaki. Teraz tylko codziennie raniutko wrzucałem do utłuczonego wazonika ziarenko grochu. Obliczyłem sobie, że list od ojca powinien nadejść, gdy w wazoniku będzie sto ziarenek.

Początkowo nie zaglądałem do wazonika. Pamiętałem jeszcze, ile jest ziarenek na jego dnie. Ale gdy dno wazonika było całe białe, wydawało mi się, że się pomyliłem. Zabierałem wtedy wazonik z kąta izby, wynosiłem się z nim do stodoły i tu, w tajemnicy przed matką, przeliczałem jeszcze raz ziarenka grochu. Gdy do setki brakowało około trzydziestu ziarenek, jego zawartość przeliczałem kilkakrotnie. Zacząłem się nawet rozmyślnie oszukiwać. Wmawiałem sobie, że rano nie wrzuciłem ziarenka do wazonika. W południe, gdy matka wychodziła doić krowy, wrzucałem do niego jeszcze jedno ziarenko. Po dwóch tygodniach w wazoniku było sto ziarenek. Ale list nie nadchodził. Czekałem kilka dni. List nie nadchodził. Zacząłem się obawiać, że wszystko popsułem wrzucając do wazonika po dwa grochy dziennie. Postanowiłem to wszystko naprawić. Teraz wyjmowałem co rano po jednym ziarenku ze skorupy. List nie nadchodził. Zacząłem wyjmować po trzy, po cztery ziarenka dziennie. Wazonik był pusty. List nie nadchodził. Wyjąłem wazonik z kąta izby. Wybiegłem z nim na podwórze. Wrzuciłem go do pokrzyw. List nie nadchodził.

## [Spis treści](#)



## Wojna

### 1

Nadeszły żniwa. Wraz z nimi przyszli żołnierze. Od roku szli do nas. Przelatywali małym konnym oddziałem po niebie, po wzgórzach, po słomianych dachach. Raz nawet dopędziliśmy taki mały konny oddział. Nauczyli nas zabijać zwierzęta, patroszyć je, piec na dzidach. Zabrać nas jednak ze sobą nie chcieli. Podarowali nam tylko drewniane łuki.

A teraz przyszli do nas. Z każdym dniem przybywało ich coraz więcej. W popielatych mundurach, płowi od dojrzewającego zboża, kurzu, słońca, wchodzili w nasze osady, stodoły, domy.

W naszej stodole stał konny oddział. Oficer, który nim dowodził, był podobny do jeźdźca widzianego przeze mnie w jesieni. Przyniosłem mu garnek zsiadłego mleka. Spojrzałem w jego oczy. Myślałem, że sobie mnie przypomni. Ale przez jego twarz przelatywały już inne pożary, patroszone zwierzęta, inne ogniska.

Siedział na progu ganku. Pił zsiadłe mleko. Pobiegłem do szopy. Przyniosłem łuk, który podarował mi jeździec. Podałem go oficerowi. Pokazywałem na siebie, na niego. Nic nie rozumiał. Klepał mnie po plecach. Uśmiechał się.

Poprosił o strzałę. Naciągnął łuk. Gęgnęła chodząca po podwórzu gęś. Poderwała się z ziemi. Spadła na skrzydła.

Oficer oddał mi łuk. Wyjął z pugilaresu reńskiego i rzucił go stojącej w drzwiach matce. Odniosłem łuk do szopy. Wepchnąłem go w jej poszycie.

Nie byłem pewny, czy ten oficer bo tamten jeździec, który prowadził po malinowej zorzy konnicę. Jeszcze raz spojrzałem w jego oczy. Teraz wydawało mi się, że gdzieś daleko za dębowymi listkami jego źrenic jest jesienna łąka. Po niej galopuje ten oficer w popielatym uniformie, na popielatym koniu, o twarzy popielatej z nienawiści. Unosi się w siodle. Przechyla na bok. I tnie. I galopuje dalej. I tnie. A przez łeb koński, przez niebo galopujące z jeźdźcem wali się mój rycerz.

Spojrzałem jeszcze raz w twarz oficera. Wydawało mi się, że widzę, jak ściąga konia w galopie i pochyla się nad zwalonym w dym, w zeschlą trawę, w zryty piach jeźdźcem. I w jego twarzy zostaje niskie czoło tamtego, grube wargi w wąsach, wysunięty podbródek, wystające kości policzkowe.

Od tego czasu ten obcy oficer był dla mnie tamtym jeźdźcem. Jego ogromne podobieństwo do tamtego wytłumaczyłem sobie nagle. Przypomniałem sobie widzianych przeze mnie umierających ludzi. Krewni nachylający się nad umierającymi upodabniali się do nich. Wprawdzie trwało to tylko przez moment, ale gdyby mi w takiej chwili kazano powiedzieć, kto umiera: leżący w łóżku czy nachylający się nad nim, nie potrafiłbym wskazać palcem. Wprawdzie nigdy nie widziałem człowieka zabitego i zabijającego, ale tym łatwiej tłumaczyłem sobie to obcoplemienne podobieństwo oficera do mojego jeźdźca.

Oficer zamieszkał u nas. Odstąpiliśmy mu gościnną izbę z oknem wychodzącym na sad. Matka codziennie rano przynosiła mu garnuszek świeżo udojonego mleka. Na obiadnie odmiennie jadał nadziewaną dynią kaczkę lub pierogi ze śliwkami. Po dwóch tygodniach nie było w naszym domu ani jednej kaczki. Nie było też kur i gęsi. Zjedli je ułani. Musiałem jeździć po okolicznych wsiach i skupywać drób. Ale również w okolicznych wsiach stali żołnierze. Ścinali szablami gęsi, strzelali do kur.

Pewnego dnia, gdy przed nasz dom nie zajechała polowa kuchnia, żołnierze wyprowadzili ze stajni naszą krowę. Akurat byłem u żniw. Gdy wszedłem do izby, na stole leżały pieniądze. Między drzewami, zawieszoną na kołku przepchanym przez pęcino we ścięgna, patroszono naszą krasulę. Pobiegłem do oficera. Wrzeszczałem. Nic nie rozumiał. Wyciągnął pugilares i podał mi jeszcze kilka koron.

Odkąd do nas przyszli żołnierze, jedynie za zezwoleniem oficera mogłem się przeprawić przez rzekę. Wzdłuż rzeki żołnierze ryli piach, zwozili z lasu okrągłaki, ścinali wiklinę. Z okrągłaków budowali w ziemi kwadratowe izdebki z wyrkami zbitymi z desek. Osypujące się strzeleckie rowy ogradzali wiklinowymi opłotkami. A we wsi, pod sadami, pod wierzbowymi zagajnikami okopywali armaty. Rozbierali zasłaniające obstrzał szopy, stodoły, a nawet domy. Ludzi znad rzeki wywozili do wsi położonych pod lasem. Przez rzekę przeprawiano nieustannie obite blachą pontony, drewniane łodzie i zbite z okrągłaków tratwy. Przewożono na nich żołnierzy, góry karabinów, amunicji,

konie, siano. Po pewnym czasie nasz brzeg wyglądał jak jarmark w powiatowym miasteczku.

Coraz trudniej było mi się dostać do Magdusi. Po nocach za jej wsią płonęły domy. Na niebo wlatywały całe dachy, płoty, drzewa podobne do ustrzelonych smoków. Nocą słyhać było wrzask ludzi, kwik zarzynanych koni, rozdzierane żelazo i rozrywaną ziemię. Ona to, ziemia, bulgotała, jakby ją karmiono z ogromnej butli.

Lękałem się o Magdusię. Zostawałem na noc w ich domu. Spałem zagrzebany w dworskim stogu. W stodole i w izbie nie było miejsca. Stały tam konie. Spali żołnierze. Ale rano musiałem wracać do domu. Przejrzałe zboże opadło na ziemię. Coraz częściej tratowała je ćwicząca konnica. Musiałem je kosić jak najszybciej.

Którejś nocy bulgotanie przybliżyło się niemal nad rzekę. Za wsią Magdusi palił się las. Siedziałem na kalenicy domu. Widziałem wyjeżdżających z ognia ułanów. Galopowali ogromnym skrzydłem w stronę obcoplemiennej wsi. Gdy rano przyszedłem nad rzekę i chciałem wejść do łódki, żołnierz stojący u wody zagroził mi drogę karabinem. Rzeka była pusta. Na tamtym brzegu, pod sadami, spostrzegłem przejeżdżających małymi oddziałkami kozaków. Pochyleni tuż nad ziemią, przebiegali podobni do wielkich grud ziemi piechurzy.

Wróciłem do domu. Siedziałem cały dzień przy oknie. Pod sadem ułani dosiadali koni. Na błoniu pod wierzbami podnoszono lufy armat. Stali przy nich żołnierze. Obok nich w drewnianych jaszczach leżały obnażone szrapnele.

## 2

W dołku po wybranych ziemniakach pędziłem bimber. Żołnierzom od dawna nie wydzielano rumu. Również w sklepiku Judki nie było ani naparstka siwuchy. Rano przyszedł do mnie oficer. Za nim żołnierze ciągnęli po ziemi ogromny kocioł do parzenia ziemniaków dla dworskich świń. Przy pomocy żołnierzy zbudowałem z gliny i z cegieł palenisko. Na nim osadziliśmy kocioł. Tymczasem w sieni pluton żołnierzy mełł w żarnach co tylko omłócone i podsuszone na słońcu żyto. Sporo kłopotu było z rozczynieniem zacieru. W całej parafii nie można było dostać drożdży. Z żalem, ale rozczyniono zacier na kilku butelkach sztabowego piwa.

Od kilku godzin siedziałem w dołku po ziemniakach. Pod palenisko wkładałem osikowe szczapy. Z wmontowanej do pokrywy kotła miedzianej rurki Sącył się alkohol. Spływał cieniutką stróżką do podstawionej drewnianej konewki. Widać zapach samogonu rozchodził się coraz szerzej pod sadem, bo po chwili nade mną zebrała się spora grupka żołnierzy. Przyszedł również oficer. Gdy dno konewki skryło się pod mętnym płynem, oficer poprosił, aby mu napełnić menażkę.

Wystawiając głowę z dołka, widziałem, jak oficer wchodzi z menażką pod sad i częstuje samogonem swoich ułanów. Sam również pił. Przy palenisku

przesiedziałem całą dobę. Matka cały czas musiała suszyć na zgrzebnych płachtach młócone przez żołnierzy żyto. Przez dobę upędziłem kilka konwi samogonu.

Pod wieczór rozdano go żołnierzom. Po kwadransie wszyscy byli podchmieleni. Na błoni, pod sadami, z okien domów strzelali na wiwat. Uganiali się za dziewczętami. Te, przerażone, smarowały twarze gliną, wpychały pod chusteczki garście końskiego włosia.

Tuż przed północą spod naszego sadu odjechała konnica. Z błonia, gasząc ogniska, odeszła piechota. Żołnierze szli nad rzekę. Pod sadami i pod wierzbowymi zagajnikami zostały jedynie wycelowane w widnokres armaty.

Z drewnianej wieży parafialnego kościoła wystrzelano trzy czerwone rakiety. Odezwały się armaty. Z drzew posypały się przejrzale jabłka. Wbiegłem do domu. Cała izba była w osypanym wapnie. Matka wstawiała z łóżka. Zapalała gromnicę. Przeciwległy brzeg rzeki stał w ogniu. Nad naszym domem przelatywały szrapnele. Wybuchaly na błoni. Wierzby wylatywały w powietrze. Wbiegłem do stajni. Odwiązałem od żłobów konie i krowę. Biłem je po zadach, kopałem w podbrzusza. Jak najprędzej chciałem je wygnać pod sad. Konie rżały spłoszone. Stawały dęba. W ich ślepiach widziałem ulatujące do nieba wierzby, płonąca ziemię, rozrywane płoty. Z domu wynosiłem kufer, garnki, pierzyny. Pod sadem zaczynały wybuchać szrapnele. Porwałem wiszący na krześle woreczek z twarogiem i, szarpiąc matkę za ramię, zacząłem uciekać z nią przez sad w rozjaśniane wybuchami pola.

Siedzieliśmy w mendlu skoszonego owsa. Odsunąłem snopek. Nasza wieś płonęła na całej długości. Prawie co drugi dom nad rzeką stał w ogniu.

Za tym bliskim ogniem rósł coraz wyżej ogień po drugiej stronie rzeki. Widać to było dokładnie. Tamten brzeg był wyższy. Ścisnęło mi się serce. W tym ogniu, wspinającym się coraz wyżej, była moja dziewczyna.

Ścisnąłem w przegubach ręce matki. Krzyknęła. Zaczęłem ją całować po rękach, coś do niej szybko mówić. Kiwała głową. Krzyczała. Chwytała mnie za ramiona. Musiałem ją odepchnąć. Matka upadła w owsiane snopki.

Zaczęłem biec przez pola, przez błonie. Skakałem przez dopalające się opłotki. Wpadałem w wyrwaną ziemię. Upadałem twarzą w piach, w mokry il. Nade mną po niebie przelatywały pługi. Żelazne brony rozdzierały do jasności niebieską rędzinę. Przebiegałem pomiędzy płonącymi domami. Wszędzie było pełno żołnierzy. Pod drzewami w zwartych czworobokach stała konnica.

Wszystkie łby końskie zwrócone w stronę rzeki. Biegłem przez wiklimę. Tu również było pełno żołnierzy i koni. Żołnierze, myśląc, że postradał zmysły, chwytaли mnie za ręce, podstawiali mi nogi. Upadałem w wiklinę. Podnosiłem się na czworakach. Biegłem.

Byłem nad rzeką. Szukałem mojej łódki wciągniętej do połowy na piaszczystą łachę. Była rozbita. Na jej dnie twarzą do nieba leżał zabity. W jego otwartych żrenicach ulatywało niebo całe w gałęziach, w lejach wody, ognia i piachu. Wprost z łódki, w ubraniu, skoczyłem do rzeki. Słyszałem, jak ktoś skacze za mną, uderza mnie pięścią w kark i ciągnie pod wodą.

Leżałem na sianie. Nade mną stały drzewa. Przez ich liście przeświecały gwiazdy. Uniosłem się na łokciach. Spod drzewa wysunął się żołnierz z karabinem. Tracił mnie czubkiem buta w bok. Kazał mi leżeć. Położyłem się. Powolutku przypominałem sobie, co się przed chwilą działo. Nie wiedziałem tylko, dlaczego leżę na sianie pod sadem pachnącym terpentyną, topioną smołą i rozdartą miazgą.

Nie chciałem leżeć pod sadem. Chciałem znowu biec nad rzekę. Iść w pola, odszukać matkę. Ale żołnierz co chwilę podchodził do mnie. Udawałem, że śpię. Gdy żołnierz odszedł pod najbliższe drzewo, uniosłem się ostrożnie na łokciach. W ogniu dogasającym nad rzeką zobaczyłem, że pilnujący mnie piechur wyjmuje kapciuch z machorką i bibułki. Pod jabłonką brzęknęły zapalki. W siarczanym płomyku zobaczyłem jeszcze twarz żołnierza.

Skoczyłem w sad. Uciekałem pod cieniem drzew. Kiedy przeskakiwałem wiklinowy płot odgradzający sad od błonia, usłyszałem za sobą krzyzącego żołnierza. Nade mną klasnęła kula. Z wierzbowego pnia posypała się kora. Przebiegałem teraz pod wierzbami rosnącymi wzdłuż rowu. Wbiegłem w pola. Na tle nocy jaśniał owsiany stóg. Wszedłem w jego huczące ciepło. Zasypiałem. Nade mną coraz wolniej krążyło niebo. Po chwili uspokoiło się jak świerkowa korona, z której odleciały spłoszone ptaki.

Gdy się przebudziłem, było już zupełnie jasno. Przeczesałem palcami włosy, wygrzebując z nich słomę. Grzbietem dłoni przetarłem oczy. Wyszedłem ze stogu. Skręciłem podwójne powrósło. Chciałem przynieść do domu kilka snopków owsa.

Wtedy usłyszałem rzenie. Początkowo sądziłem, że to dzwoni wydzierany ze stogu owsiany snopek. Rzenie dochodziło do mnie jakby przez cieniutką ścianę plecioną ze słomy. Szedłem wokół stogu. Zwalony na bok, z łbem wbitym w owies, leżał koń. Przyklęknąłem. Odgrzebałem jego łeb spod owsa. Miał rozchylony pysk. Wystawały z niego utłupane grubo w żyłkowanym piaskowcu zęby. Z wywalonego poza wargi języka ściekała ścinająca się w sople mleka ślina.

Podrapałem go między uszami. Koń uniósł łeb. Spojrzał na mnie. Wstał na przednie nogi. Wtedy dopiero zobaczyłem, że jego tylna noga, biała po kolano, jest utracona w pęcinnie. Głaskałem go po łbie. Pod pysk podsuwałem mu garście łuskanego owsa. Odwracał głowę w bok. Pobiegłem do pobliskiej koniczyny. Targałem ją garściami. Podsuwałem ją pod spieczony jęzor zwierzęcia. Ale koń jej nie chwycił wargami. Próbował jedynie zlizywać z niej rosę. Pogłaskałem go po zgrubiałej z bólu szyi. Koń stękając wsunął pod siebie przednie nogi. Łeb odrzucił na snopek. Pobiegłem do wsi. Chciałem, aby przyszli żołnierze i dobili go.

Z daleka widziałem siedzącą na progu matkę. Gdy wychodziłem spod wierzb, podbiegła do mnie. Całowałem ją po rękach. Głaskałem po głowie. Pod wierzbami spali żołnierze. Opodal nich dymiła polowa kuchnia. Podeszedłem do kucharza. Powiedziałem o koniu. Skinął głową.

Krowa i konie pasły się w sadzie razem z ułańskimi wierzchowcami.



Podszedłem do studni. Naczerpałem pełne koryto wody. Zwierzęta już stały obok pluszczącej wody. Piły do sosnowego dna. Ze stodoły wytoczyłem drabiniasty wóz. Wymościliśmy go sianem.

Po południu razem z matką poznosiłem na wóz cały nasz dobytek. Krowę przywiązałem do kulbona. Błoniem, na przeprostki przez łąki, dojechaliśmy do dziadka.

Gdy z wozu znieśliśmy dobytek i zjedliśmy obiad, postanowiłem wrócić jeszcze do domu po siano. Wprawdzie u dziadka nie brakowało trawy i koniczyny, ale zanosilo się, że wojna potrwa dłuższy czas. Jechałem przez łąki. Podszedł do mnie oficer. Wszedł na wóz. Kazał mi jechać nad rzekę.

Na brezentowych płachtach, wiklinowych gałązkach i wprost na piachu leżeli zabici. Było ich dużo. Wydawało się, że wypływają z rzeki. Żołnierze po dwóch brali zabitych za ręce i za nogi i wrzucali w drabiny. Leżeli na sianie ułożeni ciasno w płowe snopki. Na wierzch wrzucano odcięte głowy w wąsach, z wyrwaną tętnicą. Konie zwietrzyły krew. Zaczęły rzeć, ryć kopytami piach, podrzucać łbami. Zaparty bosymi stopami w ziemię, ścigałem ich łby. Żołnierz stojący obok mnie zasłaniał im ślepią łopuchowymi liśćmi. Ale konie nie mogły się uspokoić. Trzeba im było jodyną natrzeć nozdrza. Dopiero wtedy przestały bić kopytami i podrzucać łbami.

Trupy przytrąsnięte wikliną zwoziłem pod kościół. Jego drewniana wieża była urwana przez szrapnel. Na gontach spiczastego dachu zawieszona na sznurze kołysała się sygnaturka. Świerkowe ściany przeświecały na przestrzał. Wszedłem do wnętrza. Przez rozbitą dach przeświecało słońce.

Ach, ten kościółek był znów cały w strzałach, w dzidach coraz dłuższych. Szedłem wzdłuż jego ścian. Z belek wydłubywałem nożem kawałki szrapneli. Przez dziury przeświecało słońce. W kościółku przybywało drewnianych strzał i dzid. Doszedłem do ambony. Zwisiał z niej strącany z wieżyczki obserwator. Spojrzałem w bok. Święty Józef stał w drzazgach.

W drzwiach krzyczał żołnierz. Wyszedłem z kościółka. Wóz był wyładowany. Do późnego wieczoru zwoziłem trupy. Zwalano je do glinianych dołów. Zabitych układano po dziesiątce w jednym rzędzie. Trupy przysypywano gaszonym wapnem, ziemią. W usypane kopce wbijano drewniane tablice z wypisanymi na nich kredą nazwiskami.

Do dziadków wróciłem prawie o północy. Już z łąk widziałem zawieszoną nad drzwiami latarnię. Pod tą latarnią oczekiwali mnie wszyscy. Wjechałem na podwórze. Witano mnie jak ocalałego Jonasza.

Na mnie i na koniach falowała skóra. Matka z babką wzięły mnie pod ręce i wprowadziły do rozgrzanej izby. Ściągnęły ze mnie ubranie. Zanim zacząłem się wstydzić, obmyły mnie ciepłą wodą i natarły wódką. Tymczasem dziadek mieszał w glinanej misie wodę z terpentyną. Spieszył się. Konie nie chciały wejść do stajni. Chciałem mu pomóc, ale nie pozwolono mi się ubrać. Wprowadzono mnie do komory pachnącej mąką, kiszoną kapustą i suszonymi śliwkami. Spałem na łóżku ojca przywalony z głową zimową pierzyną.

Podobno krzyczałem przez sen. Odpychałem od siebie toczące się kule.

Chwytałem przerażone konie uciekające w las. Gdy się przebudziłem, pamiętałem jedynie, że szedłem przez dojrzewające zboże, rozgarniałem je rękami, wyjmowałem z niego ucięte głowy i układałem z nich pryzmę.

Rano z dziadkiem poszliśmy do lasu. Dziadek miał upatrzonych kilka dziupli, do których dzikie pszczoły znosiły miód. Chciał, żebym mu pomógł wyciąć plastry. Szedłem za dziadkiem zarastającą nas przecinką. Gdy wchodziliśmy na polanę, na której zimą dziadek strzelał do stolnicy, pod dębem całym w dziuplach spostrzegliśmy zabitego żołnierza. Leżał twarzą do nieba.. Przez jego rozrzucone ręce przechodziły mrówki, ciągnąc za sobą suche igły sosnowe. Za jego głową zszywane pośpiesznie rosło mrowisko. Żołnierz musiał być ranny ubiegłej nocy. Przerażony uciekał z naszej wsi przez błonia i przez łąki. W paprociach ciągnął się jeszcze jaśniejszy ślad. Upadł tuż pod dębem, spod którego zimą dziadek strzelał do stolnicy. Złożyliśmy jego ręce. Złączyliśmy rozrzucone nogi. Na jego twarz narzuciłem kilka paprociowych liści. Nad nim przelatowały pszczoły.

Wszedłem na dąb. W starej derce narzuconej na ramiona, przesyconej zapachem końskiego potu, wycinałem z dziupli plastry miodu. Wrzucałem je do zawieszonoego na sznurku u gałęzi drewnianego skopca. Raz nie trafiłem do skopca. Plaster miodu upadł na twarz zabitego. Wydawało mi się, że żołnierz się poruszył. Zakręciło mi się w głowie. Zeskoczyłem na ziemię. Dziadek zdjął z gałęzi cały w pszczołach skopiec. Wracaliśmy do domu. Za nami nad zrzuconym plastrem miodu coraz ciszej huczały pszczoły.

- Widzisz, synku, człowiek zawsze tak, ucieka przed sobą, póki go nie dopadną mrówki i pszczoły. Wtedy już zostaje z nimi i pod nimi. I jest mu dobrze. Zszywają go mrówki. Pszczoły nad nim budują miodowy pałac.

### 3

Na pewno byłem chory. Nie czułem smaku jedzenia. Z lasu zwoziłem zgrabione przez kobiety liście, suche gałęzie, resztki leśnego siana. Codziennie czyściłem do połysku nasze konie. Dziadkowi pomagałem lepić gliniane fajki dla żołnierzy. Ale wszystko robiłem, jakbym był zanurzony w wodzie, w zarastającej mnie trawie. Z tej wody, z tej trawy wystawiałem głowę, wyciągałem ręce. Pod tą wodą i pod tą trawą było ciszej. Nie dochodził do mnie kwik zarzynanych przez wojsko zwierząt, tętent konnicy, płacz matki.

Pod tą wodą i pod tą trawą szukałem Magdusi. Widziałem, że jest tuż koło mnie. Ale nie mogłem dojrzeć ani jej twarzy, ani pochylecia pleców. Woda była gęsta jak trawa, trawa wysoka jak woda. Zanurzony w nich z głową, chodziłem codziennie nad rzekę. Spoglądałem na tamten brzeg.

Z pagórków rozkrojonych do jasnego wnętrza dyni toczyły się ucięte głowy. Pełno ich było w płytkiej, pachnącej żelazem wodzie. Pomieszane z odłamanymi kolbami kukurydzy, z uciętymi dyniami, leżały w płytkiej wodzie, w nadbrzeżnym ile. Niektóre stoczyły się w rozerwane kartaczami końskie brzuchy. Lękałem się spojrzeć za te obcięte głowy, dynie, rozerwane konie. Tam ciągle się dymiło. W tym dymie tliły się sady. Przez nie przeświecało

niebo. Dawniej nie było nieba tak nisko opuszczonego. Trzeba było podnosić głowę nad strzechy domów, stodół i szop.

Wracalem do domu. Żołnierze przynieśli dziadkowi w brezentowych workach wycięty z końskich zadów łój. Dziadek topił go w żelaznym saganie. Studził. Mieszał go z żywicą, z sodą. Znowu gotował. Rozgotowaną paćkę wlewał do podłużnych tacek wypalonych z gliny. Było mydło. Żołnierze gotowali pod sadem wodę. Myli się w drewnianych baliach, beczkach po kapuście. Szorowali się mydłem. Bieliznę zakopywali w ziemi zostawiając na powierzchni maleńki jej skrawek. Na te skrawki z ziemi wylażyły wszy. Żołnierze obcinali te zawszone skrawki bagnetami, szablami. Wrzucali je do rozpalonych ognisk. Byli czyści. Siadywali z nami przy stole.

Pewnego dnia, gdy w izbie siedziało więcej niż zwykle żołnierzy pijąc biber, zagryzając ciętą bagnetami słoniną, z powały posypało się wapno, zadzwoniły okienne szyby. Wybiegliśmy na podwórze. Nad moją wsią przelatywały pozrywane belki, płonące kitki, całe studnie łu i piachu. Nachodził do nas ludzki krzyk pomieszany z rzeniem koni. Żołnierze wbiegli w las. Wyjeżdżali stamtąd na koniach. Inni podnosili lufy dział. Strzelali w te studnie z ziemią, w ten zwierzęcy kwik.

O zmierzchu uciszyło się. Konnica wjeżdżała w las. Armaty wyciągano z dołków ośmiokonnymi zaprzęgami. Odjeżdżano za las. Pod sadami przy pierwszych gwiazdach przebiegła piechota. Za nią czernił się coraz niżej las. O północy przed dziadkowy dom zajechali kozacy. W futrzanych papachach, w nabojach przewieszonych przez piersi. Gdy się dowiedzieli, że we wsi nie ma ani jednego Austriaka, zsiadli z koni. Któryś z nich odpiął od siodła guzikówkę. Zajaśniało rozciągnięte złoto miechów. Harmonista stał pod jabłonią. Jabłoń niemal przytupywała. Na złote miechy sypały się z niej czerwone jabłuszka. Żołnierze tańczyli. Klaskali w ręce. Śpiewali. Dołączyłem się do nich. Klaskałem w ręce. Dzwoniłem kostka o kostkę.

Nie mogłem doczekać świtu. Ubrałem się po ciemku. Z drabinki w komorze zdjąłem bochen chleba. Z półcia słoniny przybitej do ściany ukroilem duży płat. Ze słomianki wyjąłem suszony na słońcu serek. Owinąłem to wszystko w parciany worek. Aby nie zbudzić dziadków i matki, wszedłem na sąsiek, wyjąłem ze ściany oberluftowe okienko i precisnąłem się przez nie do sadu.

Było ciągle ciemno. U widnokresu tlił się zaledwie zielonkawo lniany olej. Kozacy spali na wyniesionej pod zagajnik słomie. Kanie spętane pasły się na łące.

Szedłem przez łąki. Co chwilę potykałem się o kretowiska. Kilka razy upadłem. Między kretowiskami, zwinięci w kłębek, rozrzuconi na krzyż, leżeli zabici. Omijałem ich z daleka.

Łąki czuć było jeszcze dymnym prochem, stopionym ołowiem i spalonym włosiem. Doszedłem do naszej wsi. Dom nasz z objedzoną przez konie strzechą przeświecał na przestrzał. W sadzie leżały zabite konie. Nad nimi zwisały gałęzie objedzone z jabłek. Zajrzałem jeszcze do psiej budy. Leżał w

niej przebity bagnetem Pasek. Zarzuciłem budę słomą. Psa zakopałem w gnoju.

Szedłem nad rzekę, przemykając pod ogrodami. Gdy wchodziłem w wiklinę, poczułem rozkładające się mięso, zetlałą wełnę i stopioną smołę. Z twarzą w kołnierzu półkożuszką doszedłem do rzeki.

Wzdłuż naszego brzegu przejeżdżały konne patrole. Przez bród przeprowiała się artyleria. Szedłem obok końskich zaprzęgów zapadających się po brzuchy w podmytym żwirze. Żołnierze pomagający koniom ciągnąć armaty podchodzili do mnie, macali niesiony przeze mnie worek. Nie było w nim broni. Byłem na tamtym brzegu. Widziałem z bliska stoczone do wody obcięte ludzkie głowy, trupy końskie. Między nimi przepływały ryby. Pyszczkami trącały ludzkie wargi, wąsy, źrenice.

Uciekłem znad rzeki. Biegłem przez wiklinę. Przynajmniej przed mną był wdowi sad. Prawie strawiony przez ogień. Za sadem sterczał komin. Zacząłem krzyczeć. Biegłem wokół spalonego domu. Rozgrzebywałem butami rumowisko. Znajdowałem popalone kości królików i gęsi.

Drgnąłem. Ktoś mnie objął za szyję, przyciskając się wąskim ciałem do mojego boku. Poczulem zapach ciętego mirtu. - Magdusia! - i całowałem ją w oczy, w usta, w czoło, w rozpleciony warkocz. Wziąłem ją na ręce. Tańczyłem z nią na wypalonym rumowisku. Biegłem z nią przez wypalony sad. Z dołka wykonanego w kącie sadu wyszła wdowa. Płakała. Przyniosłem jej Magdusię. Objęła nas. Całowała.

Od kilku dni mieszkam u wdowy. Grodzę płoty, z popiołu wybieram resztki belek i desek. Zbijam to wszystko drewnianymi gwoździami, obrzucam gliną. Powstaje coś w rodzaju szopy wkopanej na trzy sztychy do ziemi. Jest nam dobrze. Wprawdzie nie mieliśmy co jeść, bo żołnierze objedli wszystko do korzenia, ale dziadek przedwczoraj przywiózł nam mąkę i kartofle.

Sypiam również u wdowy. Magdusia z matką w wyścielonej słomą i starymi kożuchami ziemiance, a ja pod sadem w skleconym z kukurydzianych łodyg szałasie. W nocy, gdy wdowa jak w wysoką trawę zapada się w sen, Magdusia przychodzi do mnie. Po moich plecach przebiega łasica. Jest na mojej szyi, na skroniach, na ustach. A później śpimy zwinięci w jeden kłębek. Budzę się przed świtem. Nie chcę, żeby wdowa dowiedziała się, że Magdusia przychodzi do mnie. Budzę Magdusię. Ubiera się pośpiesznie. W ciemności widzę jedynie jej jarzący się bielą kark. Wychodzi w sad rozgwieżdżony do karuzeli. Pod tym sadem, cała w złocie spadających jabłek, odchodzi moja dziewczyna.

Po tygodniu musiałem wrócić do dziadków. Z naszych okolic odjechali kozacy. Odeszła piechota. Okoliczne pola uprzątnięto z ludzkich i końskich trupów. Naprędce młóciłem żyto. Wytrząsałem kłóc. Robiłem kitki. Poszywałem objedzony przez konie, porozrywany przez szrapnele dach stodoły i domu. Mogliśmy wracać od dziadków.

Dwa razy w tygodniu jeździłem do powiatowego miasteczka. Przywoziłem do sklepiku Judki sól, głowy cukru, bele cajgu. Zarabiałem dobrze. Odkładałem pieniądze na nasze wesele. Czekałem na list od ojca.

Gdzieś pod koniec września, gdy wróciłem z powiatowego miasteczka, matka wybiegła do mojego wozu. W rękę trzymała rozerwaną kopertę. Czytałem pośpiesznie, nie zwracając uwagi na błogosławieństwa. Podskoczyłem z radości na wozie. Ojciec donosił, że wróci w grudniu. Zgadzał się na moje małżeństwo. Obiecywał nam wybudować murowany dom kryty eternitem. Nie chciałem jeść wieczerzy. Zarzuciłem tylko wygłodniałym koniom naręcza siana za drabiny i pognałem do Magdusi.

Od tego czasu w moim i Magdusi domu przygotowywano się do wesela. Zamówiłem sobie u krawca sukienny garnitur. Magdusia miała już wypożyczony u sąsiadki welon. Matka tuczyła kupionego na jarmarku warchlaka. Do młyna zawiozłem dwa metry pszenicy. Ponieważ dom wdowy był spalony, wesele miało się odbyć u nas. Przez kilka dni z matką zalepialiśmy dziury w ścianach. Wybieliliśmy na niebiesko obydwie izby. Z kupionych w tartaku tarcic zbijałem weselne stoły. Moja rodzina miała dużo krewnych. Wesele zapowiadało się duże. Kiedy już wszystko było przygotowane, zaczęli wracać kozacy. Wojna zaczynała się na nowo.

Na błoniu pod wierzbami stała kozacka konnica. Przyniosłem im mleko, chleb, gotowane ziemniaki. Płacili dobrze. Poza tym lubiłem do nich przychodzić. Prawie zawsze śpiewali. Pozwalali mi postrzelać z karabinu. Na guzikowej harmonii przygrywał im młodziutki oficer. Wydawało mi się, że jest podobny do austriackiego oficera, do mojego jeźdźca.

Pobiegłem do domu. Przyniosłem łuk. Podałem go oficerowi. Zacząłem mu opowiadać o śródleśnym błoniu. Przypomnałem pieczone ptaki i zwierzęta. Uśmiechał się. Zaprzeczał głową. Wziął z moich rąk łuk i rozejrzał się po wierzbach. Pod nimi przelatowała sroka. Naciągnął cięciwę. Sroka zaskrzeczała i sypiąc piórami, spadła na drózkę wybitą w piaszczystym błoniu, którą do Ameryki odjechał mój ojciec. Oficer oddał mi łuk. Znow zaczął grać.

Jego twarz jaśniała. Stawała się niemal przezroczysta. Był teraz podobny do tego odpustowego grajka muzykującego pod karuzelą. W jego uniesionych oczach zobaczyłem uciekającego na koniu przez sosnowy zagajnik, przez skrawek łąki austriackiego oficera. Ale kozak cwałujący na koniu, z krzywą szablą nad głową, już go doganiał. Uniósł się w strzemionach. Błysła szabla. Przechylił się na bok. Szabla spadła przez niebo. A przez łeb koński, przez grzywę zwałił się austriacki oficer. Twarz kozaka coraz bardziej bieleła. Był teraz podobny z niskiego czoła, z wysuniętego podbródka, zwystających kości policzkowych do austriackiego oficera, do mojego jeźdźca, do odpustowego grajka.

Z każdym dniem przybywało wojska. Pod sady wjeżdżała konnica. Pod wierzbami w stare dołki po austriackich działach wpychano armaty. W dziadkowej wsi stali już Austriacy.

Kozacy co kilka godzin wyjeżdżali małymi oddziałkami na łąki. Od lasu nadjeżdżały drobne oddziały austriackiej kawalerii. Siedząc na dachu widziałem, jak te oddziały dojeżdżają do siebie najpierw truchtem, później kłusem, a w końcu galopując. Błyszczały wyciągnięte szable. Po chwili docierał do mnie kwik i krzyk ścinanych. Z dachu podobne to wszystko było do konnej nagonki w czasie polowania.

Potyczki nie trwały długo. Zaledwie kilka dni. Widocznie czekano, aż ściagną pozostałe wojska, armaty i jeszcze z pociskami.

Któregoś listopadowego dnia zbudziła mnie kanonada. Wygrzebałem się z potrawu. Wybiegłem na pole. Całe błonie stało w ogniu. Wypluwało długie, zgorączkowane do czerni jęzory. Po chwili wszystko zasłoniła mi ściana ziemi, rozrywanych wierzb i wybuchającej amunicji. Spojrzałem w sad.

Wyjeżdżali stamtąd kozacy. Wjechali w tę ulatującą coraz wyżej ścianę ziemi.

Nie słyszałem tętentu kopyt ani końskiego rżenia. Widocznie jednak przejechali szczęśliwie przez rozryte i błonie, i niebo, bo po chwili umilkły armaty. Przez opadającą ziemię, przez dym wsiąkający w ocalałe wierzby zobaczyłem ich cwałujących przez łąkę. Potykając się na szczeblach drabiny, wbiegłem na strych. Przez wyrwane kitki wlałem na kalenicę domu. Gdy podchodziłem do komina, kozacy byli już w pełnym galopie.

Spod lasu, również w galopie, nadjeżdżała konnica cesarska. Gdy obydwie cwałujące jazdy dzieliło od siebie nie więcej niż sto długości konia, błysnęły wyciągnięte szable. Nad łąkami pojaśniało. Jeźdźcy unieśli się w strzemionach. Spadły szable. Zmieszały się konie. Nad łąkami pociemniało. Dopiero wtedy doleciał do mnie krzyk ludzi i kwik koni. A już widziałem świecące jaśniej podbrzusza powalonych koni i ich kopyta rozdzierające tuż nad lasem niebiosa. Kopyta rozdzierały niebiosa coraz bliżej naszej wsi.

Wtedy spod wierzb, z całego błonia, półkolem zachodzącym z jednej strony za parafialną wieś, a z drugiej aż po siwiejące wzgórza, ruszyła piechota. Prowadzona przez bębny, przez piszczałki, szła ciasno w kilku szeregach. Na skraju łąk nad piechotą błysnęły nasadzone sztyki. Gdy piechota zrównała się z ustępującą kozacką jazdą, sztyki opadły na wysokość piersi.

Półkole biegło, wrzeszczało: "-a-a-a-a-a-a". Spod lasu takim samym półkolem biegła cesarska piechota, wrzeszczała: "-a-a-a-a-a-a". Obydwa półkola zaczęły się zszywać ze sobą w ogromny dwukolorowy kosz. Krzyczano w tym koszu, rozrywano go, znów go zszywano. Trwało to do południa.

Akurat słońce przechyliło się na prawą stronę komina, gdy zobaczyłem uciekających Rosjan. Nie było to już ciasno splecione półkole. Raczej cięty w kilku miejscach jednocześnie szary pas wikliny. Wiklina ta podchodziła coraz bliżej naszej wsi. Gdy wbiegała na błonie, pod wierzbami odezwały się armaty.

Niemal zjechałem na ziemię z pochyłości dachu. Uciekałem z matką stojącą na ganku do piwnicy w stodole. Siedząc w niej słyszeliśmy, jak koło

stodoły przelatują żołnierze, galopują konie i dzwonią armatnie zaprzęgi. Później była chwila ciszy. Znow słyszeliśmy tupot wielu nóg i kopyt. A jeszcze później była cisza ogromna. Wyszliśmy z piwnicy w tę ciszę. Od lasu cesarscy ciągnęli armaty.

Znowu wozilem trupy. Od świtu do nocy. Całe łąki były w trupach. Na ich stężających twarzach osiadł szron.

Wioząc zabitych wąską dróżką przechodzącą między odsuniętymi kadłubami ludzi i koni, zobaczyłem nagle w rozwalonym szrapnelem brzuchu końskim dwóch oficerów. Wydawało mi się, że poznaję ich, jednego po wysokich węgierskich butach, drugiego zaś po aksamitnych walonkach.

Ściągnąłem konie. Podszedłem do zabitego wierzchowca. Za nogi powyciągałem z końskiego brzucha pomordowanych. Byli to: kozacki harmonista i austriacki oficer. Nawet po śmierci mieli te same zamienne czoła, wysunięte podbródki i wystające kości policzkowe. Spojrzałem w ich otwarte oczy. Były zaszyte cieniutkim lodem. Przyklęknąłem i zacząłem ostrożnie oddechować z nich lód. Źrenice były puste. Nie odbijały już mojego jeźdźca. Zaledwie można było w nich dojrzeć obraz uschniętego źdźbła trawy z małym pajakiem uwieszonym na nitce babiego lata. Zsunąłem na ich twarze papachę i twardą czapkę z daszkiem.

## 5

Orałem ściernisko za młynem. Śpieszyłem się. Chciałem przed pierwszym śniegiem zasiać żyto i pszenicę. Było zimno. Pola aż po widnokręsiwiały od przymrozku.

Koło południa, siedząc na cepigach i skręcając machorkę w kawałku gazety, zobaczyłem biegnącą przez pola matkę. Wiedziałem, że ma przyjść z obiadem. Ale czemu tak biegnie wprost przez pola, potykając się o skiby. Poza tym matka nigdy nie wychodziła bez tybetki na głowie. A teraz na jej plecach podskakiwał warkocz.

Już z daleka krzyczała. Nie słyszałem jej słów, bo wiatr dał ode mnie. Ale ten krzyk bardzo mnie zaniepokoił. Matka wymachiwała jakimś papierkiem trzymany w ręce i ciągle krzyczała.

- Synku, widać jakieś nieszczęście. Listonosz przyniósł urzędowy papierek. Nie chciał mi go oddać. Mówił, że musisz to podpisać.

Wziąłem z jej rąk opieczętowany druczek. Była to mobilizacyjna karta. Patrzyłem na matkę. Nie mogłem wyrzec słowa. Za matką widziałem łąki zasłane trupami. Podnosiłem je z wyschniętej trawy, wrzucałem na drabiniasty wóz. Wydawało mi się, że z wiklinowego krzaka wyciągam chłopca podobnego do siebie. Leży skostniały na moich rękach, a ja oddechuję jego źrenice, obcieram rękawem jego usta, poprawiam płowy kosmyk na czole.

- Czemu tak stoisz? Mówże coś!

- To nic, mamó. To tylko oni sobie przypomnieli, że jestem dorosły. A wszyscy dorośli służą przecież w wojsku. Ja też muszę służyć. W tym

**papierku tak stoi.**

**Nie siałem już pszenicy. Siedziałem w domu przy rozpalonym piecu. Matka pochlipując przygotowywała mi suchy prowiant. Do powiatowego miasteczka miałem się zgłosić jutro. Poglaskałem matkę po włosach, ucałowałem w łokcie i poszedłem do Magdusi.**

**Widocznie w mojej twarzy było już powiatowe miasteczko całe w koszarach, w kawalerii, w magazynach pełnych bel siana, słomy i worów owsa, bo Magdusia podbiegając do mnie, krzyknęła:**

**- Co się stało, Pawełku?!**

**Ująłem ją za łokcie. Przyciągnąłem do siebie.**

**- Ach, nic się nie stało. Co ci przyszło do głowy? Mama tylko mówiła, że już nie mieszczę się w łóżku. Nogi mi wystają. Wchodzą aż do popielnika. Strawy przez nie gotować nie może. Dziadek też narzekał. Strąciłem mu głową półkę z sikorkami. A i ludziska od dawna powiadają, że jak idę przed nimi, nieba nad sobą nie widzą. To i przyszedł taki papierek z powiatu. W nim też stoi o tym. Będiesz miała wojaka. Może nawet ułana. W szabli, w ostrogach, na bułanym koniu. Będę przyjeżdżał do ciebie. Przywoził ci będę pierniki, czerwone jabłuszka, jedwabne chusteczki.**

**- Ułana, ułana! Ale przecież teraz jest wojna. Wezmą cię, zabiją, porąbią szablami. - I zaczęła mnie bić pięściami po plecach, i krzyczeć: - Co ty wygadujesz, co ty wygadujesz!**

**Uciszyliśmy ją razem z matką. Siedzieliśmy pod sadem na ławeczce wyniesionej z lepianki. Prawie nie rozmawialiśmy. Głaskałem Magdusię po plecach. Nie było już tam łasicy. Spojrzałem w jej twarz. Uleciał z niej ptak.**

## **6**

**Wypchałem wóz ze stodoły. Wymościlem go słomą. Przygotowałem dwa drewniane, wymoszczone słomą i nakryte derkami siedziska. Z tyłu wozu, w półkoszku, już od wczoraj leżał drewniany kuferek. Był w nim bochenek chleba, płat słoniny, parę jabłek i flaszka rumu. Wyprowadziłem konie ze stajni. Zaprzęgałem. Matka ubrana w wyszywany kozuch stała już na ganku pod zawieszoną nad drzwiami naftową latarnią. Byliśmy gotowi do drogi. Ale matka nie schodziła z ganku. Pobieglem po nią. Wziąłem ją na rękę. Niosłem przez ogródek, przez kawałek błonia, aż do wozu. Posadziłem ją na przednim siedzisku.**

**- Paweł, zapomniałam na śmierć. W komorze u żerdki wisi Iniany woreczek. Przynieś go.**

**Wszedłem do domu. Pachniało w nim próchniejącym drzewem i wapnem. Wszedłem do kuchni. Nad okienkiem wychodzącym na podwórze ledwie jaśniało. W kątach izby stał wysoki cień. Za tym cieniem poruszały się wigilijne snopki pszenicy, żyta, jęczmienia i owsa. Z tych snopków wychodzili płowowłosi chłopcy, podobni do mnie z odrzuconej do tyłu głowy, z twarzy suchej, wysuniętej do przodu. To samo było w gościnnej izbie, w sieni, w komorze. Wszędzie stali płowowłosi chłopcy. Jedni zaledwie raczkowali. Inni**



grali na odpustowych trąbkach. Jeszcze inni osłaniali rękami oczy i spoglądali w wiosenne pola.

Zegnałem się ze wszystkimi, rzucając im wyjęte z kieszeni sznurki, kamyki, ziarenka owsa. Stałem przy drzwiach prowadzących do komory. Na ich futrynie zaznaczyłem sprężynowym nożem swój wzrost. Nad kreską wyciąłem niezdarną koronę słonecznika. W jej ciemne wnętrze wpisywałem cyfrę 18. Byłem bardzo wysoki. Słonecznik był niemal u stragarza.

Przez ściany, przez sień wypełnioną mrokiem usłyszałem wołającą matkę. Wszedłem do komory. Sięgnąłem po lniany woreczek. Zachrząściło w nim. Z woreczkiem wyszedłem na ganek. Zamknąłem drzwi na drewniany skobel. Zdmuchnąłem wiszącą nad drzwiami naftową latarnię. Spojrzałem na błonie. Pod ocalałymi wierzbami zaledwie jaśniało. Byłem przy matce. Podałem jej woreczek. Rozwiązała go i zaczęła mnie obsypywać garściami lipowego kwiatu. Wskoczyłem na wóz. Uchyliłem czapki. Konie już biegły truchtem.

Jechaliśmy przez całą wieś. Czuć było amoniakiem, przymrozkiem i szbutwiałymi liśćmi. Byliśmy nad rzeką. Na promie. Na drugiej stronie rzeki. Wjechaliśmy pod sad wdowy. W ziemiance chybotał ogień. Pobiegłem w jego stronę. Obok ognia na ławeczce, ubrane w zimowe kożuchy, siedziały Magdusia i matka.

- To już?

Kiwnąłem głową. One zgasiły ogień. Wyszliśmy pod sad. Parskały konie. Nad ich łbami stały obłoki potu. Szliśmy wprost na te obłoki. Siedzieliśmy na wozie. Kobiety rzucały za siebie garście owsa i pszenicy. Wjeżdżaliśmy na dworskie wzgórze. Spojrzałem za siebie. Dosięgał nas zaczynający prószyc śnieg.

Wydawało mi się, że pod tym śniegiem słyszę chrapanie koni, dzwonięcie podków i kutych obręczy. Co chwilę oglądałem się poza siebie, ale nic nie mogłem dojrzeć. Opatulałem w kożuch, w wełnianą szalówkę siedzącą obok mnie Magdusię. Przyciągałem ją do siebie. Było nam ciepło. W tym ciepłe jechaliśmy wzdłuż rzeki pod wypalonymi wierzbami zasypywanymi przez coraz gęściej prószący śnieg. Przed nami z nocy wychodziły odległe wzgórza. Coraz bardziej jaśniały w jutrzni i w śniegu sypiącym przez tę jutrznię. Jechaliśmy do tych wzgórz przytuleni do siebie.

Prosiłem matkę, żeby wyjęła z kuferka flaszkę z rumem. Wybiłem korek. Podałem flaszkę Magdusi. Piła. Całowałem ją w usta. Miały smak jesiennego śniegu zmieszanego z cukrem, z winem, ziarenkiem soli i żelaza. Podawałem flaszkę siedzącym z tyłu wozu kobietom. Wtedy zobaczyłem, że za nami jedzie kilka wozów.

Ledwie widoczne pod sypiącym śniegiem, jechały przez równinę wygładzoną do dębowego stołu przez wylewającą co roku rzekę. Nad wzgórzami jaśniało coraz wyżej. Matka oddawała mi butelkę. W tej jasności dalekich wzgórz widziałem za nami jeszcze więcej wozów.

Zjeżdżały z odległego i już białego dworskiego wzgórza ciemniejsze z

lewej strony drogi zarośniętej wierzbami, jaśniejsze z prawej, gdzie szła rzeka cała w śryzie ścinającym się w krę. Na wozach zbliżających się do nas siedzieli chłopcy. Poznawałem ich. Byli to moi rówieśnicy, z którymi chodziłem po kolędzie, wypasałem konie, rzucałem nożem w kredowe koło. Jechali z muzyką. Słyszeć było klarnet i skrzypce. Śpiewali. W ten śpiew, w tę muzykę sypał się śnieg. Z tego śniegu wyskakiwały ogromne łby końskie uplecione z konopi, z wiązek siana, z grochowin. Te łby końskie, osadzone na plecionych z wiklin kufrach, kłusowały na bielejących kołkach zginających się podwójnie: w kolanach i w pęcinach.

Cieszyłem się, że nie jadę sam. Przytulałem coraz ciaśniej Magdusię. Całowałem ją po oczach. Śpiewałem. Do mojego śpiewu dołączyły się kobiety. Jechaliśmy przez wsie już ogacone w liście, w plewy, w siano. Po zaśnieżonych płotach przechadzały się koguty. Dołączały się do naszego śpiewu. Na drogę wypadały psy. Ujadały. Przejeżdżaliśmy przez to psie ujadanie, przez zasypujący wszystko jesienny śnieg.

Przed nami stały wzgórza widoczne niemalże do kamiennych stóp. Na wzgórzu bielilo się miasteczko. Wjeżdżaliśmy między jego pierwsze domy. Czuć je było papą, topioną smołą, pobliskim targowiskiem. Byliśmy na rynku. Stały już na nim wozy. Między wozami przechadzali się grupkami chłopcy. Objęci w pół, śpiewali. Pili wódkę. Całowali po rękach ojców, matki. Zszedłem z wozu. Pomogłem zejść kobietom. Wtedy zaczęli wjeżdżać na rynek moi rówieśnicy. Z muzyką, ze śpiewaniem. Wyskakiwali z wozów, podchodzili do nas. Częstowali nas arakiem.

Gdy rynek pojaśniał od śniegu i od słońca, na podwyższenie zbite z desek wszedł podoficer. Kazał nam iść za sobą. Zdjąłem z wozu kuferek. Postawiłem go na ziemi. Podbiegłem do matki. Całowałem ją po rękach, po oczach, po twarzy. Ucałowałem rękę wdowy. Poglaskała mnie po pochylonej głowie. Wziąłem kuferek na plecy. Objąłem Magdusię.

Szliśmy za rówieśnikami niemal przez całe miasteczko. Wchodziliśmy w uliczki wspinające się na wzgórza, spadające do rzeczutki ogrodzonej tarcicowymi płotkami. Za rzeczką stały zasypane śniegiem sady. Przed nami szła pułkowa muzyka. Szliśmy pod tą muzyką.

Przed wysokim budynkiem o żelaznej bramie zatrzymaliśmy się. Zdjąłem kuferek. Ująłem Magdusię za przeguby. Nie było w nich źródeł. Całowałem ją po oczach, po szyi. Ona szeptała:

- Pawełku, Pawełku.

W bramie stał podoficer. Pod kasztanami stała pułkowa orkiestra. Podoficer wrzeszczał coś przez tę orkiestrę grającą nieustannie, wymachiwał rękami. Podniosłem ze śniegu kuferek. Szedłem za rówieśnikami. Co chwilę odwracałem się. Między twarzami przystających koło koszar ludzi widziałem stojącą na palcach Magdusię. Była coraz dalej ode mnie. Coraz więcej głów ją zarastało. Gdy wchodziłem w żelazną bramę, mignęła mi jeszcze jej szalówka i podniesiona ręka. A już szedłem przed orkiestrą, wchodziłem w posmarowane dziegciem drzwi. Byłem w środku ogromnej sali pachnącej naftaliną,

papierosowym dymem, onucami, ludzkim i końskim zapachem.

## 7

Jestem żołnierzem. Już od miesiąca. Mieszkam w koszarach tuż za miastem. Gdybym nie znał tego miasteczka z cotygodniowych jarmarków, byłoby dla mnie schodzącym ze wzgórz białym koniem, kwitnącą jabłonią, oderwanym od nieba obłokiem. Bo odkąd jestem żołnierzem, nie byłem jeszcze w miasteczku. Mogę jedynie spoglądać na nie z koszarowego placu. Niewiele stąd widać. Plac ogrodzony jest wysokimi tarcicowymi sztachetami. Całe szczęście, że rodzice nie poskąpili mi wzrostu. Mogę się wychylać przez sztachety i spoglądać na schodzące ze wzgórz miasteczko. A schodzi ono początkowo lepionymi z gliny, drewnianymi i wreszcie murowanymi domkami na kwadratowy rynek.

Na ten rynek co środę ze wszystkich wzgórz zjeżdżają wozy. Turkot wozów słyszę jeszcze przed porannym apelem. Przed tygodniem, gdy śnieg był wysoki i zmarznięty, o świcie słyszałem dzwonki telepiące u sań. Gdy z koszar wybiegamy na plac, aby w czwórkach odejść na śniadanie, z rynku dolatuje rzenie koni, strzelanie z batów i pokrzykiwania przekupniów. Ale jeszcze nic nie można dojrzeć. Dopiero gdy wracamy ze śniadania, przez sztachety przeświecone wschodzącym słońcem widać rynek cały w poruszających się ludziach, wozach i końskich łbach.

Czasem mi się wydaje, że między wozami widzę matkę, Magdusię z plecionym koszykiem. Ale z koszarowego placu wszystkie kobiety są podobne do Magdusi, do matki. I wiem, że ani matka, ani Magdusia nie przyjdą do mnie. Do koszar nie wolno przychodzić nikomu. Dopiero po trzech miesiącach będą nas mogli odwiedzić najbliżsi. Teraz jeszcze nie jesteśmy żołnierzami. Nie jesteśmy również cywilami. Podoficerowie nazywają nas sianem albo słomą. Tarmoszą tę słomę, to siano za uszy, za włosy. Kopią nas w pośladki. Rozsypują nas po okolicznych błoniach.

Każą nam padać, podnosić się, padać. Repetować broń. Strzelać do wyskakujących zza horyzontu, pomalowanych na zielono ludzi. Strzelamy do tych zielonych ludzi. Oni padają w śnieg. Po chwili podnoszą się z powrotem bliżej nas. Wtedy rzucamy w nich granatami. Ludzie rozsypują się w drzazgi, w grudy ziemi pomieszanej z topniejącym śniegiem. Ale z tych drzazg, z tych grud ziemi rodzą się jeszcze raz, tuż przed nami, ci sami zieloni ludzie. Wtedy biegniemy do nich z bagnetami osadzonymi na karabinach. Przebijamy ich. Przekłuwana dykta stęka. Odpryskuje z niej zielona farba. Spod zieleni sterczy płowe włókno.

Pewnego dnia, gdy na stratowanym przez podkute buty śniegu leżeli pomordowani zieloni żołnierze, a my siedzieliśmy na plecakach skręcając papierosy, na pobliskim wzgórzu ujrzeliśmy jeźdźca. Dereszowy koń znoszący jeźdźca ze wzgórza potykał się co chwilę, zjeżdżając kilka metrów na zadzie. Wtedy jeździec podciągał jego łeb na wodzach. I koń znów schodził tanecznie. W słońcu, w śniegu nie naruszonym na stoku przez żołnierskie

buty, jeździec wydawał się zjeżdżać z nieba. Wyprostowany w siodle, górujący nad podniesionym końskim łbem, podobny był jeśli nie do świętego, to na pewno do rycerza ze starej ballady pachnącej dworkiem, moździerzową palbą, panną młodą. Nasz stary nauczyciel tak ładnie tę balladę recytował.

Gdy jeździec zjechał z pagórka na płaskie błonie, podoficer poderwał nas z plecaków. Staliśmy w dwuszeregu. Jeździec kłusował wprost na nas. Teraz dopiero, z bliska, gdy słońce podchodziło do prawej skroni jeźdźca, rozpoznałem w nim panicza ze dworu. Sprezentowaliśmy broń. Panicz usiłował zasalutować, ale spłoszony koń stanął dęba. Oficer wściekły zaczął okładać go trzcinką po zadzie i po nozdrzach. Koń tańczył przed naszym plutonem niemal na zadzie. Spod jego kopyt bryzgała darń pomieszana ze śniegiem. Mokry płąt tej mazi zalepił mi twarz. Miałem jej pełne usta. Nie widziałem na oczy. Zacząłem wypluwać śnieg. Podniosłem rękę, aby obetrzeć twarz. Spostrzegł to oficer. Podjechał do mnie na uspokojonym koniu. Ciął mnie przez twarz trzcinką. Zasłoniłem się karabinem. Wtedy oficer zeskoczył z konia. Podeszedł do mnie uderzając rytmicznie trzcinką o buty w ostrogach. Kiwnął palcem. Wystąpiłem dwa kroki z szeregu. Widziałem, jak przez twarz oficera przelatuje poszarzałe pod jesień dworskie wzgórze. Zobaczyłem, jak z wysokości świętego Jerzego wali się ten panicz w piach. Jak zsuwa się po wzgórzu aż po napis: STRZEŻ SIĘ PIŁY! SZELA.

- Ach, to ty, Parobeczku miły. Turkawko najśłodsza. Gołąbku wiośniany. Krajanie najmilszy. Może pójdziemy na rum?

Uśmiechnąłem się. Panicz drgnął.

- Biegiem marsz! - wrzasnął. - Stój! Czołgaj się! Powstań! Prezentuj broń! Czuję, jak żołądek podchodzi mi do gardła. Wydawało mi się, że śnieg ze wzgórz zasypuje moją wątrobę, wypełnia moje osierdzie. W mojej głowie tańczyło coraz większe słońce. Upadłem w śnieg. Czuję jeszcze, jak ktoś podchodzi do mnie, krzyczy nade mną i kopie mnie w brzuch szpicem buta. Ale już ktoś drugi sypie garściami śnieg na moją twarz, rozpina mi kołnierzyk bluzki, podnosi moje ręce, bagnetem rozwiera moje zęby i w gardło wlewa mi rum. Otworzyłem oczy. Nade mną stał podoficer. Za nim, wyprostowany, jaśniał panicz.

Wszedłem do dwuszeregu. Przede mną stał oficer.

- No, ziomku. Jakże to? Do dziewczek latasz od świtu do nocy, a z ziomkiem nie chcesz wyjść na szklaneczkę rumu? Wstydzilibyś się. Takie chłopisko, a takie słabowite. Ciesz się, żeś trafił na mnie. Poduczmy cię, kochanku. Sił nabierzesz. Zmężniejesz. Inaczej dziewczka w pierwszą noc przegoni cię z łóżka. A nie chciałbym cię zastępować. Czuć tę twoją dziewczkę gnojem i kapustą. Ale my ten zapach z ciebie wytrzepiemy. Zaczniemy od jutra. Zatem do jutra, kochaneczku. Do jutra, galicyjski karpiele. Wystąp!

Wystąpiłem z dwuszeregu. Podprowadzono konia. - Pomóż mi wsiąść, jabłuszkowy ziomku!

Nie wiem, jak to się stało, ale zanim się zorientowałem, co się dzieje, cały pluton pokładał się ze śmiechu. Po wzgórzu na spłoszonym dereszku

galopował oficer. Ale nie był to już święty ani tym bardziej rycerz. Nie był to też oficer. Raczej najzwyklejszy, nazbyt wyrosły pokraka. Galopowało toto, a raczej skakało od grzywy do końskiego ogona, usiłując na próżno uchwycić się końskich uszu, grzbietu, wzniesionego ogona. Jakoż panicz tak się, widać, zapatrzył we mnie, iż nie zauważył, że konia, zamiast łbem do koszar, ustawiono przed nim łbem do lasu. Przypadkowo więc wsadziłem go twarzą do końskiego zadu.

Gdy galopujący koń wjeżdżał już na wierzchołek wzgórza, oficerowi udało się z niego zeskoczyć. Koń pozbywszy się ciężaru, zarył się kopytami w śniegu. Teraz dopiero oficer wsiadł na niego normalnie. Uderzył go trzcinką po szyi. Zwrócił konia w stronę naszego plutonu. Wydawało się nam, że na powrót zamierza zjechać do nas. Wyprostowaliśmy się w dwuszeregu.

Podoficer szepnął:

- Nie bójcie się, chłopcy, biorę go na siebie.

Ale oficer widocznie się rozmyślił. Pogroził nam tylko pięścią. Po chwili znikł po drugiej stronie wzgórza.

Od tego dnia panicz prześladował mnie nieustannie. Oglądał wszystkie moje guziki, sprawdzał połyski moich butów, lustrował czystość karabinu, bagnetu, sprzączek i plecaka. Ciągnął podoficerów do kantyny, gdzie stawiał im wódkę, aby tylko baczniejszą na mnie zwracali uwagę. Byłem najgorszym żołnierzem w całej kompanii. Czyściłem klozety, szorowałem podłogi, w kuchni zmywałem przesycone łojem sagany. W nocy, gdy zasypiałem, wyrywano mnie z łóżka. Wołano do wartowni. Gdy byłem w pełnym rynsztunku bojowym, odsyłano mnie z powrotem do koszar.

Teraz już nie miałem okazji spoglądać z koszarowego placu na miasteczko. Zresztą przestały mnie ciekawić jego domki zasypywane coraz wyżej przez styczniowy śnieg. Wydawało mi się, że w tym miasteczku, ukryte pod śniegiem, mieszkają drapieżne zwierzęta, które przychodzą do panicza i za wiązkę siana, kawałek chleba, ochłap mięsa, ofiarują mu swoje usługi. A panicz tylko na to czeka. Rozchyła się po ciemne wnętrze. Zwierzęta wchodzą w niego. Tańczą w nim, porykują. Wtedy on idzie do mnie, toczy mnie po błoniu zasypanym po kolana śniegiem, wpycha mnie do kibla, rozplaszcza pod łózkami.

Poza tym, gdy miałem chwilę wytchnienia, wchodziłem do latryny i obmyślałem zemstę. Początkowo chciałem podpalić koszary. Łatwo to można było uczynić. Wzdłuż tarcicowych sztachet były zwalone całe bele prasowanego siana i słomy. Wprawdzesame koszary były murowane, ale stajnie, stojące tuż przy nich, były zbudowane ze świerkowych okrągłaków. Wystarczyło podłożyć ogień pod pierwszą z brzegu belę siana, aby całe koszary spłonęły jak paździerzowa kądziel. Niestety, nikomu poza strażnikami nie wolno było wychodzić i wchodzić do koszar. Poza tym koszary oficerskie stały z boku, oddzielone od naszych żywoplotem.

Postanowiłem przeto, że kiedy będę w stajni, podetnę bagnetem pęciny dereszowi panicza. Ale kiedy udało mi się wejść do stajni z wyostrzonym na

podmurówce bagnetem, żal mi się zrobiło niewinnego stworzenia. Lubilem mu podsuwać pod nozdrza moje słone dłonie. Lizał je wysuniętym poza wargi językiem, prychając.

Chciałem również zagwoździć pistolet panicza. Ale to przedsięwzięcie było zupełnie niewykonalne.

Po miesiącu było mi już wszystko jedno. Postanowiłem, że jeśli w niedzielę panicz nie pozwoli mi wyjść na koszarowy plac, zastrzelę go na najbliższych ćwiczeniach. Ale w tygodniu, zdaje się, że w czwartek, dostałem list od Magdusi. W liście była mała gałązka zasuszonej jedliny. Postanowiłem przeczekać wszystko cierpliwie.

Jakoż panicza odwołano z naszej dywizji. Wyjechał do Wiednia. Teraz mogłem całymi godzinami przechadzać się po koszarowym placu. Koledzy, moi rówieśnicy, przynosili mi otrzymywane z domu listy. Czytałem im o zdrowiu matek, sióstr, żon. Pisywałem im pełne czułości listy do dziewcząt. Częstoowali mnie papierosami. Prosili do kantyny na rum.

W połowie stycznia dowiedzieliśmy się od podoficera, że za kilka dni mamy wyjechać na front. Napisałem list do domu. Chciałem, żeby ktoś przyjechał do mnie w ostatni dzień. Było jednak za późno. Poza tym generał przyśpieszył nasz odjazd o dwa dni. Przed odjazdem pozwolono nam wyjść do miasteczka. Wszedłem sam. Nie chciałem, aby którykolwiek z moich kolegów szedł ze mną. Chciałem odnaleźć te miejsca na rynku, wzdłuż drogi do koszar, gdzie przed trzema miesiącami stałem z matką, z wdową, którą szedłem razem z moją dziewczyną.

Szedłem przez wspinające się na wzgórza miasteczko. Pachniało jeszcze wigilijnie choiną, sianem, pszennymi plackami. Na uliczkach, przed domami krytymi papą, z której zwisały czerniejące sople lodu, stali starozakonni. Spoglądali w dół na rynek zasupłany zaczynającym prószyć razem z mrokiem gęstym śniegiem.

Przez ten śnieg, przez ten mrok widać było chybotające światła przypominające gwiazdy. Słysząc było urywki kolęd, porykiwanie turonia, nawoływania pasterzy, dźwięk dzwonków na tle skrzypiec i popiskującego klarnetu. Schodziłem coraz szybciej z pochyłości wzgórza w ten śpiew dzwonków i ubogiej muzyki. Chciałem jeszcze przed wyjazdem na front pogłaskać po kudłatym łbie turonia, spojrzeć na pasterzy niosących przerzucone przez plecy zawiniątka z serem, kawałkami placków i kiełbasy.

Gdy wyszedłem z prószącego śniegu, z mroku przesypującego się przez śnieg, na rozjaśniony kilkoma żarówkami rynek, tańczono już na nim, śpiewano razem z pasterzami przemykającymi pod wytopionymi w sople lodu i smoły okapami. Wszedłem między pasterzy. Pierwszemu z brzegu odebrałem gwiazdę. Szedłem z tą gwiazdą przez zaułki cuchnące kapustą, sadłem, sianem, parchającymi się kotami. Śpiewałem. Razem ze mną śpiewali pastuszkowie.

Wchodziliśmy z uliczki w uliczkę, stukaliśmy w drzwi domów. Wychodzono do nas. Spychano nas z progów. Szliśmy dalej. Uliczki coraz

bardziej ciemniały. Tylko śnieg, sypiący coraz gęściej, rozjaśniał przelewającą się w nich studzienną wodę.

Wydawało mi się, że za tym śniegiem, za tymi studziennymi uliczkami pełnymi przesyconej dziegciem wody, jest Betlejem rozjaśnione od podłogi do pował. Szedłem coraz szybciej. Niosłem nad sobą gwiazdę. Za mną szli pastuszkowie. Koło mnie z łbem odrzucanym na plecy biegł turoń. Oglądałem się za siebie. Wtedy widziałem przerażone oczy pastuszków. Kreślili na czołach kółka. Ale szli za mną. A raczej biegli. Żal im było gwiazdy skleconej ze starego sitka, złotego papieru i kolorowych wstążek.

Wyszliśmy na targowicę. Spod śniegu bił jeszcze zapach moczu i bydlęcego łajna. Całą targowicę czuć było ćwiartowanym mięsem i rozsypanymi piórami. Na ostatnim straganie, w rogu targowego placu, prawie w ciemności, ćwiartowano ostatnie tego dnia jagnię. Podeszedłem do straganu. Resztki mięsa zawijano w szary papier. Na deskach straganu, zasypany śniegiem, jaśniał łeb jagnięcia. Zgarnąłem z niego śnieg. W ślepiach jagnięcego łba wschodziła pierwsza gwiazda.

Śpiewałem kolędę. Śpiewali ze mną pastuszkowie. Tańczył turoń zapadając się po kolana w śniegu. Drewnianą gwiazdę oddałem rzeźnikowi. Wyjąłem bagnet. Kazałem mu śpiewać. Śpiewał przytupując dla rozgrzewki owiniętymi w szmaty buciorami. Żal mi się zrobiło rzeźnika. Wziąłem z jego rąk gwiazdę. Oddałem mu zabrany za kolędę łeb jagnięcia.

Wracaliśmy na rynek. Między uliczkami świeciły gwiazdy. Pod tymi gwiazdami stały drzewa wrysowane kredą w karnawałowe niebiosa.

## 8

Do tego pasma gór przywieziono nas w bydlęcych wagonach. Przez góry szliśmy piechotą. Od dwu miesięcy siedzimy w środku tych gór. Dosłownie w środku. Po zboczach gór ciągną się okopy głębokie do pasa. Łączą one wybite w wapiennych wzgórzach bunkry. W tych bunkrach śpimy na zmianę, jemy, a nawet od czasu do czasu tańczymy. Wprawdzie nie ma wśród nas kobiet, ale są muzykanci. Oni to prawie w każdą niedzielę przygrywają na przywiezionych ze sobą skrzypcach, klarnetach i dudach. Przy tej ubogiej muzyce tańczymy ze sobą. Austriacy, Madziarzy, Słowacy, Bośniacy. Cali w białym pyłe wapnia, przytupujemy komiśnymi buciorami, dzwonimy podkówka o podkówkę. Po tańcu śpiewamy, pijemy rum. I znowu tańczymy. Tańcząc myślimy o najbliższych. W tańcu najlepiej się myśli o najbliższych. Niemal czuje się ich przesycone polem, sianem, oborą i kuchnią ciepło.

Inaczej jest w okopach. Wtedy się patrzy przez dolinę na przeciwległe wzgórze. We wnętrzu tamtego wzgórza siedzą Italianie. Podobno siedzą tam od roku. Nie bardzo chce mi się w to wierzyć. Odkąd tu przybyłem, oprócz mułów przenoszących worki z żywnością po przeciwległym grzbiecie wapiennego wzgórza, nie widziałem jeszcze żywej istoty. Wprawdzie kilkakrotnie w nocy słyszałem ich śpiew, ale równie dobrze mogły to śpiewać coraz gęściej porastające wiasenną trawą zbocza. Zwłaszcza że od kilku

tygodni od niewidocznego dla nas morza dmie silny wiatr.

W dolinie między wzgórzami, w prawym jej kącie, jest małe miasteczko. Byłem już tam kilka razy. Miasteczko, jak na okolice frontowe, jest nad podziw żywe. Na małym rynku, białym od sypiącego się z pobliskich wzgórz wapiennego pyłu, jest pełno straganów. Można tu sprzedać komiśny chleb, wojskową bluzę, koc. Za to można dostać biały chleb, parę główek dzikiego czosnku, a zwłaszcza wino.

Pijemy to wino. Przegryzamy czosnkiem. Boimy się szkorbutu. Podobno oddziały stacjonujące tu przed nami wyprowadzono stąd, bo większość żołnierzy dostała szkorbutu. Czasem mi się wydaje, że nasi poprzednicy byli mądrzejsi od nas. Nie pili wina i nie jedli czosnku specjalnie. Teraz kurują się gdzieś w Wiedniu, w Budziejowicach, w Pradze, a może nawet w Tarnowie. Ale oni byli starsi od nas. Przeto mądrzejsi. W naszej kompanii prawie wszyscy mają po dziewiętnaście lat. Dlatego boją się szkorbutu. Piją wino i jedzą czosnek. Poza tym niektórzy z moich rówieśników chodzą do miasteczka zupełnie w innym celu. Spostrzegłem, że sporo tam ładnych, czarnowłosych dziewcząt. A jak tu iść do dziewczyny, kiedy się nie ma zębów.

Jak do tej pory, dobrze się nam żyje w tych górach. Prawie jak w parafialnej wsi. Może nawet lepiej. Nikt nas nie zaczepia. Nie rzuca w nas kamieniami, nie szczuje psem, nie wyzywa od złodziei i bandytów. Dlatego, gdy wracam z miasteczka i spoglądam na wzgórze, wydaje mi się, że jestem w domu w dzień przedświąteczny. Na głogu zarastającym zbocza wzgórz suszy się rozwieszona bielizna. Pachnie dym palonych ognisk. Żołnierze, siedząc w słońcu, grają w karty. Inni rzucają bagnetami w kasztanowe drzewo. Jeszcze inni próbują zwabić kawałkiem słoniny, nabitym na patyk, wałęsającego się poniżej psa.

Dopiero od tygodnia wszystko się zmieniło. Zresztą można się było tego spodziewać. Nocą, po rozjaśnionym przeciwległym wzgórzu, prawie stykającym się z wiosennym niebem, przechodziły całe stada mułów. Muły były objuczone nad miarę. Aż do nas dolatywało ich postękiwanie. Wtedy też po raz pierwszy zobaczyłem Italianów. Wybiegali z okopów pod zielonkawy nów. Z przyklękających na stoku mułów ściągali pośpiesznie brezentowe wory. Zrzucali je na stok. O wyiskrzany wapień dzwoniło żelazo. Pozbawione ciężaru muły zawracano pośpiesznie na południe. Schodziły z oświetlonych nowiem wzgórz w obrywającą się pod nimi ciemność. I znów po kilku godzinach pojawiały się obładowane brezentowymi worami. Widać je było aż po wnętrza uszu w świetle nowiu i wiosennej trawy.

Od tygodnia strzelamy do siebie. Zaczęli oni. Wygląda to na wiejską zabawę. Ukryci w wapiennych wzgórzach strzelamy do siebie przez dolinę, w której leży to zielone miasteczko kryte eternitem, skupiające się ciasno wokół kwadratowego rynku i białego kościółka wynurzającego się z oliwkowej zieleni. Po rynku chodzą ludzie. Nadal sprzedają wino i czosnek. Machają do nas rękami. Niektórzy niosą portrety cesarza. Inni wygrażają nam pięściami.



Odwracają się od nas plecami. Podnoszą nad sobą złączone w węzeł ręce. Wymachują nimi nad głową w stronę wzgórz, gdzie ukryci strzelają Italianie.

Akurat dzisiaj upływa tydzień, odkąd zaczęła się ta odpustowa strzelanina. Jest sobota. Właśnie o tej sobocie od dawna opowiadali nam mieszkańcy miasteczka. Jest to dzień patrona miasteczka. W ten dzień odbywa się w miasteczku odpust. Z Wiednia, z Pragi, a nawet z Tarnowa ściągają na ten odpust kramarze. Jakoż od rana zauważyliśmy, jak ze wzgórza zjeżdżają okryte cajgowymi płachtami odpustowe wozy kramarzy. Ścieżkami między krzakami głógów i niżej położonymi winnicami zjeżdżają na osiołkach odpustowi żebracy. Za nimi powoli, ubrani odświętnie, szli okoliczni wieśniacy. Wszyscy schodzili do rynku. Koło ósmej, gdy słońce podchodziło pod drewnianą dzwonnice, rynek był już pełen ludzi. Siedziałem w okopie położonym najbliżej miasteczka. Widziałem wszystko jak w rozwartych drzwiczkach jasełkowej szopki.

Szczególnie bacznie przyglądałem się stojącej w rogu rynku karuzeli. Wydawało mi się, że między ludźmi stojącymi pod karuzelą spostrzegam tego samego harmonistę, którego widziałem trzy lata temu na naszym odpuście. Podobnie jak wówczas, miał twarz ubieloną wapnem czy też mąką. Grał również na tej samej guzikowej harmonii o złotych miechach. Spojrzałem poza niego przez rozwinięte złoto miechów. Ale nie zobaczyłem dziewczyny przechylonej do przodu, z łasicą na plecach, z białym ptakiem w twarzy. Stała tam czarnuszka. Przed nią, odchylony w bok, stał podrostek gryząc w zębach gałązkę winogrodu.

Nagle, odwracając się do tyłu, zobaczyłem, że kilku moich kolegów schodzi ze wzgórza do miasteczka. Szli z karabinami. Gdy wchodzili w uliczki miasteczka, z prawej strony przeciwległego wzgórza odezwał się maxim. Posypały się ścięte liście kasztanów i odpryśnięte gałązki winogrodu. Ze ścian domów sypał się tynk. Z lewej strony naszego wzgórza zaterkotał karabin maszynowy. Po chwili obydwie wzgórza stały w ogniu. Zobaczyłem jeszcze uciekających spod karuzeli ludzi. Jeżdżący na niej zeskakiwali z krzesełek w pełnym biegu. Harmonista nie zdążył złączyć miechów. Ugodzony serią, zwałił się na rozciągnięte złoto safianowych miechów. Nad nim kręciła się wprawiona w ruch karuzela.

Na naszym wzgórzu zagrała trąbka. Z okopów wysypali się moi rówieśnicy. Wybiegłem również ja. Szliśmy rozciągniętą po wzgórzu tyralierą. Z przeciwległego wzgórza podobną tyralierą schodzili Italianie. Byli prawie czarno. Szli wyprostowani. Karabiny z osadzonymi na nich bagnetami nieśli oparte o prawe biodro. Zobaczyłem jeszcze, że mają wykładane kołnierze bluz i podwinięte aż do łokci rękawy. Byliśmy już w miasteczku. Zeszliśmy się na opuszczonym przez odpustników rynku. Byliśmy tuż przed sobą. Przymknąłem oczy. Jak przez sen usłyszałem łamanie kości, syczenie przebijanych brzuchów i krzyk padających na biały od wapnia rynek. Dopiero gdy mój bagnet zgrzytnął o coś twardego, otworzyłem oczy. Stałem przed parterowym domkiem. Jego zielone okiennice były zatrzaśnięte. Przede mną

była biała ściana. Obejrzałem się za siebie. Zobaczyłem, jak w bocznych uliczkach znikają moi koledzy. Pobiegłem za nimi. Wybiegłem za miasteczko. Po stoku wzgórza uciekała garstka ocalałych Italianów. Niektórzy z moich kolegów przyklękali na stratowanej ziemi i strzelali do uciekających. Widziałem, jak czarne sylwetki rozprostowują się w krzyż, przechylają do tyłu i turlają po stoku w winnice.

Odwróciłem się na piętach. Odchodziłem w stronę naszego wzgórza. Wtedy z italiańskiego wzgórza zaczęły bić moździerze. Szrapnele padały na rynek, między ciasne uliczki. Całe miasteczko stało w wapiennym pyle. Wlokąc za sobą karabin, biegłem coraz wolniej po stoku. Gdy dopadałem okopów, zobaczyłem jeszcze moich kolegów wyskakujących spomiędzy winnic. Italiańska artyleria zaczęła ostrzeliwać nasze okopy. Odpowiedziały jej nasze działa. Nad płonącym tu i ówdzie miasteczkiem ryczało żelazo, wznosiły się wyrwane krzewy winogrodu. Całe niebo stało w wapiennym pyle.

Uciszyło się dopiero pod wieczór. W świetle powiększającego się nowiu widzieliśmy odjeżdżających z miasteczka ludzi. Jechali na wozach załadowanych kufami, plecionymi z wikliny koszami. Inni szli piechotą, ciągnąc za sobą kozę, parę owiec, osiołka. Miasteczko wyludniało się coraz bardziej. O północy ani w jednym domu nie paliło się światło.

Od tego dnia miasteczko przechodziło z rąk do rąk. Przez kilka dni było cesarskie, przez następne kilka dni - italiańskie. Biliśmy się o tę okruszynę zaciekle. Tylko w miasteczku była woda. Jedynie można się było zaopatrzyć w mieszczkańskich piwnicach w wina i w ziemniaki.

Po dwu tygodniach nieustannych potyczek nasz dowódca wpadł na rozsądny pomysł. Na przeciwległe wzgórze wysłał parlamentariuszy. Oni to, w imieniu naszego dowódcy, ustalili z dowódcą oddziału italiańskiego, że miasteczko będzie neutralne.

Od tego czasu ani nam, ani Italianom nie wolno było strzelać do żołnierzy czerpiących wodę z miasteczkowej studni. Mieszczkańskie piwnice z winem zostały podzielone po równej części między obydwie walczące strony. Ziemniaki również wyważono sprawiedliwie w brezentowych worach. Od tej też pory niemal codziennie spotykaliśmy się z italiańskimi żołnierzami przy kamiennej studni. Klepaliśmy się po plecach, wymienialiśmy papierosy, sprzedawaliśmy im nasz chleb. Niektórzy nawet tak się zaprzyjaźnili, że obiecywali sobie po wojnie odwiedzać się wzajemnie w rodzinnych wsiach i miasteczkach.

Łagodność ta trwała prawie przez cały miesiąc. Już dawno przekwitły winnice. Zaczęły się zawiązywać kiście. W miasteczkowych sadach dojrzewały brzoskwinie i czereśnie. Pod wieczór schodziliśmy się z Italianami w tych sadach. Wchodziliśmy po dwóch na drzewa, objadając się owocami. Wydawało się, że już nigdy nie będziemy się bić ze sobą. Niepokoilo nas tylko to, że do naszego oddziału przywożono coraz więcej amunicji. Stoki poza nami obsadzono dalekosiężnymi działami. Coraz częściej nad nami przelatowały drewniane italiańskie samoloty. Nad wzgórzem italiańskim

pojawiły się już od rana nasze zeppelin.

Pewnej nocy nadeszły posiłki w ludziach. Wymieniono kilku oficerów z naszych oddziałów. Gdy rano, jak zwykle, schodziłem ze wzgórza, aby wejść w pobliski sad na czereśnie, spotkałem się z paniczem. Wiedziałem wprawdzie, że poza naszymi oddziałami stoi kawaleria, ale nie sądziłem, że jednym z jej oficerów jest panicz z naszego dworu.

- Jak się masz, ziomku? Gdzież to tak pędzisz po rosie? Tu front, mój miły. A na froncie za stodołą tego się nie robi. Jak Bóg przykazał, trzeba ta robić na żerdce w latrynie. Biegiem marsz do okopu!

I kopnął mnie w pośladek. Odwróciłem się. Chciałem się rzucić na niego. Ale panicz najwyraźniej sięgał po pistolet. Zawróciłem do okopów.

Postanowiłem, że w czasie najbliższej potyczki strzelę mu w potylicę.

Tej nocy było jasno. Na niebie stała pełnia. Tuż nad wzgórzami płonęło tysiące świętojańskich rabaczków. Wszedłem z okopu. Wszedłem na najbliższy szczyt. Daleko, prawie u widnokresu, na wszystkich wzgórzach paliły się sobótkowe ogniska. Wydawało mi się, że na tle oliwnego nieba widzę przeskakujących przez ogień przebranych w leśne zwierzęta chłopców i tańczące w rucianych wiankach dziewczęta. Przez rzenie stojących poniżej koni, dźwięk werblików, szmer przesypywanego w parcianych workach owsa, przyciszone rozmowy żołnierzy, siedzących na trawie między głogiem, słyszałem daleki śpiew. Były to z pewnością pieśni sobótkowe o paproci, o miłości.

I widziałem moją matkę siedzącą na progu, spoglądającą w rozjaśniony ogniskami sad. Po drugiej stronie rzeki widziałem tę obcoplemienną wieś z Magdusią przechodzącą pod rozgwieżdzonym sadem. Wydawało mi się, że wystarczy mi zbiec ze stoku, aby ją wziąć za rękę, uciekać z nią przez opłotki, przez dworskie błonia w pobliski las. A w tym lesie na pewno jest nasza paproć.

Położyłem się na wzgórzu. Zasnąłem. Śnił mi się dom cały w wigilijnych snopkach. Przy odświętnym stole siedział ojciec z kufrem na kolanach. Wyjmował z niego powiązane czerwoną wstążką paczki dolarów. Z dna kuferka wysypywał ułożone w rulony złote krążki. Wigilia śniła mi się pewnie dlatego, że te wapienne wzgórza, w których żyliśmy, nazywano Wigilijnymi Wzgórzami.

Gdy się przebudziłem, nade mną stało czerwcowe niebo. U jego widnokresu stał zeppelin. Podę mną słyhać było szcęk broni, rozlewanie wody, chrapanie koni. Powoli, przytrzymując się gałązek głogu, zszedłem ze wzgórza.

Między okopami przelatywali już sztabowi łącznicy. Pośpiesznie sprawdzano telefoniczne kable. Po prawej stronie wzgórza, tam gdzie była artyleria, stali już wyprostowani działowi. Podnoszono lufy armat. Gdy zza italiańskiego wzgórza wyskoczyło słońce, odezwały się armaty.

Przeciwnie wzgórze zaciągnął dym. Nad tym dymem coraz wyżej unosił się wapienny pył. Spoza tego pyłu nie widać było słońca. Po pięciu minutach

odezwała się italiańska artyleria. Biła celnie. W naszych okopach zaczęli krzycheć ranni. Wbiegłem do strzeleckiego rowu. Nade mną huczało żelazo. Niebo opadało coraz niżej, całe w wapiennym obłoku. Wydawało mi się, że wzgórze stojące poza nami schodzi coraz szybciej, na nas, wchodzi w nasze okopy, zasypuje nas.

Przez ten dym, przez ten kurz coraz częściej przebiegali podoficerowie. Akurat podnosiłem się z okopu, aby łopatką umocnić nad sobą strzelnicę, gdy potknął się o mnie przebiegający chyłkiem nasz podoficer.

- Psiakrew, ciamajdo! Ach, to ty. Mam coś dla ciebie - zaczął grzebać w zanadrzu. - Masz tu list. Pewnie od dziewczyny. Przyszedł w sam raz. Przeczytaj go sobie przed atakiem. Lżej ci będzie umierać.

Rozerwałem kopertę. Czytałem. Nade mną coraz ciaśniej przelatywało żelazo, grudy wapnia, krzaki wyrwanego głogu. Był to list od Magdusi. Pisała w nim. Pociemniało mi w oczach. Wydawało mi się, że dostałem odłamkiem w potylicę. Ależ tak. Pisała w nim, że jest przy nadziei. Usiadłem, a raczej się obsunąłem na dno okopu. Nie słyszałem już kanonady. Szeptąłem: - Przy nadziei, przy nadziei.

Przypomniałem sobie sad. Ziemiankę w rogu sadu. Moją dziewczynę przychodzącą do mnie, gdy wdowa zapadała w sen. Widziałem ją przebiegającą w świetle pod sadem. Spadały na nią czerwone jabłka, sypały się pierwsze liście.

- Przy nadziei. Ale dlaczego dopiero teraz donosi mi o tym? I to na tych Wigilijnych Wzgórzach zwiastujących bitwę.

Nade mną była cisza. Podniosłem się z okopu. Ze wzgórza tyralierą schodzili moi rówieśnicy. Podnosili broń do ramienia. Strzelali. Opuszczali broń lufami do ziemi. Repetowali. Celowali. Strzelali. Biegli coraz szybciej po osypującym się pod ich butami wzgórzu. Z przeciwległego wzórza zbiegali tyralierą Italianie. Strzelali. Repetowali broń. Strzelali. Między tymi tyralierami, z wapiennego pyłu wynurzało się miasteczko. Opadał na nie dym, winogradowe i czereśniowe liście.

Wybiegłem z okopu. Wzgórze obsuwało się przede mną. Zjeżdżałem po nim jak po zadzie ogromnego perszerona. Strzelałem. Repetowałem broń. Strzelałem. Nie celowałem w przeciwległe wzgórze. Strzelałem ponad biegnącymi przede mną rówieśnikami. Strzelałem ponad przeciwległym wzgórzem, z którego zbiegała italiańska piechota. Bałem się celować w kogokolwiek. Wydawało mi się, że jeśli zacznę celować w przesuwające się po zboczach figurki, sam zginę od pierwszej zabłąkanej kuli. Nie tego się bałem. Chciałem jeszcze zobaczyć mojego syna. Bo na pewno będzie to syn. Już jest. Liczyłem w pamięci. Już jest. Już krzyczy.

Przed sobą coraz bliżej widziałem plecy moich rówieśników. Podskakiwały na nich, wyładowane zafasowanym rano komiśniakiem, kocami, skradzionymi w miasteczku fatałaszki, zielone plecaki. Wydawało mi się, że moi rówieśnicy biegną nie do ataku, ale ze szkoły. Biegną coraz szybciej, bo przed nimi jest to prószące leszczynowym chłodem jezioro.

**Biegna przez majowe południe rozkrojone nad nimi do zielonego plastra miodu.**

**I widziałem przed nimi to jezioro prószące chłodem, całe w sitowiu, w leszczynie, w wierzbach dopiero puszcających zielone pędy z obciętych łbów. Podskakujące na ich barkach plecaki były dla mnie pełnymi ołówków tornistrami. Słyszałem, jak brzęczą w nich piórniki, nie dojedzony bób, jeszcze gorzkie wiśnie. Wołałem, żeby poczekali na mnie. Zawsze się bałem wchodzić sam do jeziora. Raźniej mi było wchodzić do wody w dużej grupie rówieśników. Ale oni mnie nie słyszeli. Biegli coraz prędzej. Uciekali przez sięgające im po szyję głogi. Wpadali w niskopienny winograd. Staczali się w dolinę.**

**Między zaroślami głogu, witkami winogradu, mignęły mi plecy Pucółowatego, opalony kark Harmonisty. Obok nich biegli pozostali obcoplemienni chłopcy. Gdy upadłem na ziemię, widziałem ich krótkie szyje, fragmenty twarzy o skośnych oczach, wysunięte do przodu podbródki, niskie czoła. Przez ich twarze, podbródki, niskie czoła, skośne oczy przelatywał dym i ścinane liście winogradu.**

**Przed nimi widziałem w dolinie kredowe koło. Oni już wbiegali w to kredowe koło. W tym kole łączyli się w gwiazdy, w półksiężyce, w przyciemnione pełnie. Odsuwali do tyłu kolby karabinów. Wypychali je oburącz do przodu. Z tych gwiazd, z tych półksiężyców szedł krzyk, szcęk żelaza, chrobot łamanych kości, miazdżonego mięsa, rozrywanego włókna. Gwiazdy przede mną coraz bardziej ciemniały. Były coraz mniejsze. Zasypywał je biały pył, liście winogradu, ludzki krzyk.**

**Wtedy usłyszałem poza sobą tętent konnicy. Obejrzałem się. Ze wzgórza w pełnym galopie zjeżdżała nasza kawaleria. Konie obsuwały się na tylnych nogach, zjeżdżały na zadach. Cwałowały wprost na mnie. Uskoczyłem w bok. Ale konnica była coraz bliżej. Już słyszałem parskanie koni, granie śledzion, świst wyciąganych szabel. Ktoś krzyczał za mną:**

**- Ty skurwysynu! Ty parszywy skurwysynu! Francowaty tchórze! Strzelaj! Strzelaj w tych smoluchów! Obejrzałem się. Poza mną na dereszcu cwałował panicz. Nad nim błyszczała szabla. Teraz był znów podobny do świętego Jerzego z naszego kościółka. W jego zwężonych oczach dojrzałem zjeżdżającą z przeciwległego wzgórza italiańską kawalerię. Panicz jechał wprost na mnie. Galopujący deresz potrącił mnie kolanami. Panicz zaczął mnie pałaszować po plecach.**

**- Opuść karabin! Opuść karabin, skurwysynu! Celuj! Nie rozumiałem, o co mu chodzi. Wtedy panicz ciął szablą po moim karabinie. Krzyknąłem. Poczulem ściekający do łokcia ból. Deresz potrącił mnie kopytami. Upadłem w winograd. Podniosłem się na łokciach. Ból ściekał już pod pachę. Przed sobą widziałem zmniejszającego się deresza unoszącego panicza. Celowałem. Pociągnąłem za cyngiel. Znowu strzeliłem. Widziałem jeszcze, jak na dereszcu zachwiał się panicz. Upadłem w rozgrzaną trawę. Gdy się podniosłem, nie było już przede mną ani gwiazd wkreślonych w kredowe koła,**

ani konnicy, ani deresza unoszącego panicza ze dworu. Było ziarenka soczewicy.

Upadłem z powrotem w winograd. Zasnąłem. Gdy się przebudziłem, zobaczyłem tuż u lewej ręki gałązkę winogradu. Przez jej cieniutką łodyżkę przeświecało słońce. Wewnątrz łodyżki widziałem podobny do dmuchawca rdzeń. Z tego rdzenia wyrastały trzy listki. Po jednym z nich szła mrówka niosąc ziarenko soczewicy.

Nade mną stało ogromne, obite biskupim fioletem niebo. Po tym niebie przesuwał się obłok podobny do jesiennego snopka prosa. Chciałem się podnieść na łokciach. Ale ból mi nie pozwalał. Powolutku, wspierając się zdrową ręką o ziemię, powstałem na kolana. Spojrzałem przez winograd. Przed sobą w dolinie widziałem próbujące wstawać na przednie, na tylne nogi konie. Spoza winorośli wystawały ich spocone łby i zady. Ostrożnie, przytrzymując się prawą ręką gałązek winogradu, powstałem z klęczek. Teraz widziałem przed sobą w dolinie rozrzucone płowoczarne gwiazdy. Wydawało mi się, że są wkreślane w ogromne kredowe koło.

Obejrzałem dokładnie lewą rękę. Miałem obcięty mały i serdeczny palec. Wyjąłem z plecaka Inianą koszulę. Podarłem ją na pasy. Trzymając jeden koniec zgrzebnego pasa w zębach, obwijałem zranioną rękę. Chciałem ją opuścić wzdłuż biodra. Ale było to niemożliwe. Ból spod pachy przeniósł się już w zgrubienia szyjne. Z trzech zgrzebnych pasków związałem coś w rodzaju temblaka. Zawiesiłem na tym zranioną rękę. Chciało mi się pić. Odpiąłem od pasa manierkę. Był w niej rum. Wypiłem go do ostatniej kropli.

Z głową rozjaśnioną alkoholem schodziłem powolutku w dolinę. Za mną osypywały się rozryte końskimi kopytami kawałki wapnia. Już w pierwszych krzewach winogradu potknąłem się o zabitych. Odwracałem ich twarzami do nieba. Szukałem moich rówieśników z obcoplemiennej wsi. Ale nie było ich między tymi zabitymi. Szedłem coraz dalej rozrytą równiną. Z ciał zwalonych w wieloramienne gwiazdy wyciągałem za wystające nogi pomordowanych.

Z którejś z kolei gwiazdy wystawały znajome mi buty. Były ścięte po prawej stronie podkówek. Wyciągnąłem trupa z gwiazdy. Był to Pucółowaty. Jego niskie czoło było rozprysnięte. Ułożyłem go twarzą do nieba. Złożyłem jego rozrzucone ręce. Szedłem dalej. Wydawało mi się, że gdzieś z boku skuczy pies. Poszedłem w stronę skomlenia. Pod krzewem winogradu zwinięty w kłębek leżał Harmonista. Był ranny. Miał obciętą szablą dłoń. Zatomowałem tężejącą w sopel krew. Dałem mu pić z jego manierki. Ułożyłem go na wyciągniętym z plecaka kocu.

Szedłem dalej. Spod winogradu wychodzili na czworakach, czołgali się, podpierając się na karabinach, nasi i Italianie. Kazałem im się schodzić pod rosnącym w środku doliny dereniowym drzewkiem.

Szedłem dalej. Chciałem odszukać mojego panicza. Znalazłem go tuż u italiańskiego wzgórza. Leżał rozrzucony w sękaty pień. Na jego nogi był zwalony deresz. Oczy panicza były otwarte. Podobne były od spodu do oczu ustrzelonego przeze mnie pod sadem zająca. Czerniło się w nich dworskie

wzgórze z napisem: **STRZEŻ SIĘ PIŁY! SZELA**. Jego głowa była odrzucona do tyłu. Nie była to ludzka głowa. Podobna była do tej zwierzęcej głowy, do której rzucaliśmy nożem. Poglądziłem deresza po ostygłych chrapach. Na twarz panicza ściągnąłem twardą oficerską czapkę.

Pod dereniowym drzewkiem była już spora grupka ocalałych. Prawie wszyscy byli ranni. Podszedłem do nich. Usiadłem między nimi.

Powyjmowaliśmy z plecaków komiśny chleb, kawałki grubej słoniny, brzoskwinie i czereśnie. Jedliśmy, żując ostrożnie i powoli. Piliśmy rum. Po głowie błąkał mi się pomysł. Zaproponowałem go wszystkim. Przytaknęli.

Weszliśmy do miasteczka. Do menażek i manierek naczerpaliśmy wody. Powolutku, rozciągnięci gęsiego, wspinaliśmy się na wzgórze. Gdy weszliśmy na wierzchołek rozrytego kopytami i strzeleckimi rowami naszego wzgórza, zapadał zmierzch. Ze wzgórza schodziliśmy prawie w ciemności..

Szliśmy przez całą noc. Co trzy wzgórza odpoczywaliśmy. Byliśmy zupełnie wyczerpani. Na noszach co zdrowsi nieśli ciężko rannych. Gdy nad ranem dogasały ostatnie sobótkowe gwiazdy, ze wzgórza zobaczyliśmy morze. Jaśniało w jutrzni.

W morzu tym, w jego jasności, była sól. Tę sól sypie się na języki noworodków. W tej soli żyje ryba, która nas wszystkich nakarmi. Jak się ta ryba nazywa? Cholera, jakżeż się ona nazywa? Zresztą to nieważne. Jesteśmy na Wigilijnych Wzgórzach.

## [Spis treści](#)

---

Komentarze dotyczące mojej witryny można wpisywać w [Mojej księdze gości](#)

---